

# B L U S Z C Z

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 20 WRZEŚNIA 1930 ROKU

NR. 38

TREŚĆ NUMERU: Jak czytamy — *Natalja Jastrzębska*. Obrońcy dzieci Paryża — *Wanda Grabińska*. Poezja: „List“ — *Witold Zechenter*. Nieudana sprawa (c. d.) — *Kazimiera Mazurkova*. Od Czorsztyna do Szczawnicy — *Jadwiga Kiewnarska*. Ś. p. Anna Harland-Zajączkowska — *J. Ł. W.* Trzecie igrzyska kobiece — *Emka*. Z teatrów — *S. P. O.* Z książek — *S. P. O.* i *St. H.* Kobieta w świecie i w domu. Kultura estetyczna i społeczeństwo w Ameryce — *Marja Werten*. Nowoczesny wazon na kwiaty i jego walory dekoracyjne — *Helena Wolska*. Hodowla zwierząt futerkowych, jako zawód kobiecy — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Jak pielęgnować palmy w mieszkaniu — *Marja Kulwieciówna*. Zapasy zimowe — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: „Wolny — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie“ — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

## JAK CZYTAMY

Ile razy w dawnych, przedwojennych czasach mówiło się o wielkiem powodzeniu dzieł literatury zagranicznej, o dziesiątkach i setkach tysięcy egzemplarzy nakładów, o majątkach autorów, tylekroć na usprawiedliwienie naszej literackiej biedy i marnego rozwoju naszego czytelnictwa mieliśmy ówczesne, smutne warunki: niemożność propagowania pism i książek, niski stan oświaty, cenzurę. Były to ważne i realne powody. Z chwilą jednak odzyskania niepodległości, zdawało się, że stosunki ulegną radykalnej zmianie. Tyle było żywotnych tematów, tyle zainteresowań: polityką, życiem społecznym, rozwojem naszej wiedzy, tyle wrażeń, które znaleźć musiały wyraz w beletrystyce, iż mieliśmy prawo przypuszczać, że rozwój literatury i czytelnictwa we wszelkich dziedzinach pójdzie z tym samym młodym, dzielnym rozmachem, z jakim poszło tyle rzeczy w naszej odrodzonej państwowości.

Niestety, dotychczas przewidywania te nie spełniają się jakoś.

Zapewne, zaszły pewne zmiany na lepsze. Przed wojną maximum nakładu przeciętnej książki było tysiąc egzemplarzy, dziś trzy tysiące, a niekiedy więcej. Powstało kilkanaście nowych dzienników i czasopism, ale wszystko to, w porównaniu do innych krajów kulturalnych, jest mało, mało i jeszcze raz mało. W Stanach Zjednoczonych wychodzi 15 milionów egzemplarzy dzienników porannych, 25 milionów wieczornych i 27 milionów niedzielnych, wypada to przeciętnie 2 i pół gazety na rodzinę, a u nas?

Mamy około stu dzienników, których nakład wynosi około milion egzemplarzy, to jest mniej więcej jedna gazeta na cztery rodziny! A książki? Podczas

gdy w Stanach Zjednoczonych liczba potencjalnych nabywców książki wynosi 60 procent ludności, we Francji 40, to w Polsce zaledwie... 17 procent.

Nabywamy więc książek niezmiernie mało, w porównaniu z zagranicą, dzienników również, to znaczy, że stanowczo zamało czytamy.

A tymczasem właśnie, chcąc odzyskać czas stracony, „dogonić“ to, co straciliśmy przez długie lata zaniedbania kultury w czasach niewoli, powinniśmy zdwoić rozwój naszego czytelnictwa.

Zdawszy sobie sprawę z tego, że czytamy za mało, powinniśmy zastanowić się nad tem, kto jest winnym w tym wypadku. Ogólnie mówi się, że... kobiety.

Podczas tygodnia książki polskiej, wszystkie odezwy, plakaty, ulotki zwracały się do kobiet, w ich ręce składano propagandę książki, od ich poparcia zależać miało jej powodzenie.

Jednocześnie zaś, wtedy specjalnie i wogóle zawsze, wyczuwa się ukrytą, niedomówioną niekiedy, niekiedy i głośną zupełnie krytykę: kobiety nie czytają. Tak, gdyby one chciały, byłoby zupełnie inaczej. ale... kobiety nie czytają!

Czy tak jest istotnie?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy nakreślić sobie pewną klasyfikację czytelników wogóle.

Jak, i co, i jacy ludzie czytają?

Nie statystycznie, lecz logicznie, na podstawie obserwacji życiowych, podzielić można czytających na kilka kategorii:

czytających prasę periodyczną, w tem przeważnie dzienniki;

czytających czasopisma oraz książki naukowe i fachowe;

czytających dzieła beletrystyczne.

Tych ostatnich podzielić można jeszcze na parę podkategorij.

Jedni czytają bez wyboru, co w rękę wpadnie, inni pochłaniają tylko sensacyjne powieści, lub bezwartościowe, „lekkie” romansidła, inni wreszcie wybierają planowo, pamiętając, że życie jest za krótkie, aby poznać wszystkie dzieła warne poznania, szkoda więc, jeśli już nie czego innego, to każdej chwili czasu na lekturę bezwartościową.

W której z tych kategorij jest najwięcej czytelników, w której najmniej kobiet?

Możemy prawie na pewno twierdzić, że, pomimo dosyć dużego rozwoju czasopiśmiennictwa, kobiety najmniej czytają dzienniki.

Każdy prawie mężczyzna, umiejący czytać, przejrzy dziś i kupi gazetę, wybór jej zależny jest naturalnie od jego poziomu umysłowego, orjentacji politycznej i t. p., niemniej jednak istnieje.

U kobiet przeciwnie, wiele nie czyta dzienników wcale. Widzimy wśród nich często osoby wykształcone, śmiem twierdzić nawet, że wśród kobiet, nie czytających gazet, większość jest inteligentek, te inne częściej zajrzą do dziennika, w imię sensacji, konkursu piękności, lub dowiedzenia się, kogo okradli i kto uciekł od męża.

W kategorii, czytających tylko dzieła naukowe i fachowe, jest bezwzględnie również mniej kobiet, choćby dlatego, że naogół jeszcze dużo mniej zśród nich pracuje naukowo i fachowo.

Pozostaje trzecia kategoria: beletrystyka.

Tu kobiety mają tak bezwzględną przewagę, że statystycznie wynagradza ona, na pewno na ich korzyść, oba poprzednie działy.

Jeżeli bowiem są mężczyźni, a jest ich bardzo wielu, którzy czytają tylko dzienniki i książki, potrzebne im w ich zawodzie, nie biorąc dosłownie, nigdy do ręki beletrystyki, to niema stanowczo kobiety, któraby nie przeczytała od czasu do czasu jakiejś powieści. Nie można więc twierdzić, że kobiety nie czytają, owszem, czytają, czytają więcej, niż mężczyźni, tylko, czytają... źle.

Przedewszystkiem, dosłownie wypełniają dwie najmniej wartościowe, wyżej wymienione kategorie czytelników beletrystyki: czytających bez wyboru, lub, gorzej, *wybierających* rzeczy bezwartościowe.

Kto miał sposobność obserwować kiedykolwiek publiczność w wypożyczalniach, mógł zbudować się naiwnością, jakimś bezdennym analfabetyzmem psychicznym przychodzących tam pań.

— Proszę o jakąś nowość.

— Co pani sobie życzy? Czy... tu następują tytuły i nazwiska, stosownie do okoliczności.

— Wszystko jedno, coś nowego, z działu tych, co „tylko na trzy dni”. Ale lepiej, żeby był gruby tom,

cienki zaraz się przeczyta, a jutro nie będę mogła zmienić.

Oto kryterjum! Zarzycka, czy Sigrid Undset, Marczyński, czy Nałkowska, co to kogo obchodzi!

Są nowele, nazwisko autora bardzo dobre.

— Och, nie, nowel nie lubię, tylko powieść, może jest coś nowego Wallace’a.

Bo Wallace, to jeden z tych szczęśliwych autorów, którego nazwisko kobiety pamiętają. Jest bowiem jeszcze jedna cecha kobiecego sposobu czytania: autor i tytuł wietrzeją, jak kamfora.

Nawet mało inteligentny mężczyzna zapamięta to jakoś, kobieta rzadko kiedy.

I jeszcze jedno: mężczyzna, o ile czyta, kupuje chętnie książki (są tacy nawet, którzy nie czytając, lubią mieć bibliotekę), kobiecie zawsze szkoda na ten wydatek pieniędzy, woli pożyczyć, no, już w ostateczności, zaabonować się w czytelni. Choć i z tem idzie kulawo. Są przecież rzesze kobiet, które, przy bardzo skromnych warunkach materialnych, naprawdę sporo wydają na ubranie, kosmetyki i perfumy, a nie mogą zdobyć się na dwa złote miesięcznie abonamentu w czytelni, te właśnie dwa złote wydają im się zbyt-kiem, często nawet im to do głowy nie przyjdzie, że można i trzeba je wydać.

Nie dlatego więc, że kobiety nie czytają, ale dlatego, że czytają źle, warunki produkcji literackiej są tak ciężkie.

Jeżeli bowiem ktoś czyta bez wyboru, jeżeli niebardzo zdaje sobie sprawę z autora, nie zapamięta treści, ani rodzaju książki, ten nigdy książki nie kupi. Człowiek o tego rodzaju pojemności umysłowej, nigdy nie będzie zdolny do propagandy książki, czy autora, nie stworzy koło siebie, ani w rodzinie, ani w kole znajomych, żadnego środowiska czytelników; może on czytać nawet dużo, ale to, co przeczytał nie wywrze żadnego wpływu na niego, ani na innych, rozwieje się w przestrzeni.

A wzięwszy pod uwagę, że kobiety przeważnie dysponują pieniędzmi na *wszystkie* wydatki rodziny, więcej, że one głównie wychowują dzieci..., jakże czytelnictwo może u nas stać dobrze!

Mało, bardzo mało przejmują się niem kobiety, jako dowód bardzo bliski, przytoczyć mogę przykłady, zaczerpnięte z naszej praktyki redakcyjnej. W naszej ankiecie gospodarczej, która wywołała tak wielkie zainteresowanie, jakże rzadko poruszano sprawę zakupu książek, a dwie, czy trzy Panie zaznaczyły skromnie: książki kupuje mąż.

A jeśli on nie kupuje?

Drugi przykład: kilkakrotnie poruszano w „Mównicy” sprawę czytania, zainteresowań literackich. Tym nielicznym, które temat ten podjęły, odpowiadała zawsze... cisza.

Tak, jest bezwzględnie źle, co jednak zrobić, aby było lepiej? Bo zrobić coś bezwzględnie musimy.

Natalja Jastrzębska.

WANDA GRABIŃSKA

## OBROŃCY DZIECI PARYŻA

(Z cyklu: „Zdarzenia i ludzie“).

Zdarzenia i ludzie... Przepływają koło nas wieczną, niepowstrzymaną falą życia... Wlewają się do filtru mózgu, który je oczyszcza, segregując do różnych, bliższych i dalszych składów pamięci... Są tam lamusy pyłem pokryte o drzwiach zapomnianych, że nie umiemy nawet trafić do nich mimo wysiłku swej woli. Są inne, gdzie zaglądamy często i odświeżamy myślą codziennego wspomnienia, tak, że wydają się nam bardziej żywe od rzeczywistości... (O tych rzadko opowiadamy...). Są jednak przeżycia i postacie dobre i miłe, które chcielibyśmy wyprowadzić na oczy wszystkich ludzi i powiedzieć:

— Spójrzcie na tego człowieka, poznajcie; warto żebyście go poznali — żebyście przeżyli wzruszenia z jego spotkania.

Dlatego chcę dzisiaj opowiedzieć o Panu Rollet.

Pierwszy raz zobaczyłam go ubiegłej jesieni w Paryżu, w komplecie trzech sędziów, za wysokim czarnym stołem, na sali sądu dla nieletnich w Palais de Justice — w sali szarej, surowej — z ławą oskarżonych, wyniesioną wysoko i odgradzoną szeroką barjerą...

Zamknięte w niej dziecko nie może podejść do stołu, zbliżyć się do sędziów, których słowa dobiegają dziwnie wystudzone w drodze z nad sędziowskiej, wysokiej katedry, aż do tej ławy aresztanckiej małych nieszczęśników...

Tkwiał tam wówczas jakiś szkrab, z którym ciężko było się dogadać. Miało to lat najwyżej dwanaście, a robił miny, jakby spalił siedem wsi. Widać było, że udaje... Zapierał się zresztą wszystkiego w żywe oczy, drząc w duszy ze strachu przed poprawnikiem.

Obserwowałam twarze sędziów. Przewodniczący niecierpliwiał się, mówił do dziecka ostrym, urzędowym głosem. Drugi kolega również wydawał się być znużonym tą rozprawą. I dopiero trzecia twarz, twarz sędziego Rollet była żywym odbiciem tego, co się istotnie działo na tej sali. Z czerstwego oblicza, z pod szerokiego czoła w ramie białych włosów, wybiegało tam, ku ławie oskarżonych dwoje błękitnych oczu, rozświetlonych ogromną dobrocią, a zachmurzonych lekko niepokojem; dwoje szczerych, jasnych oczu dziecka i mędrca zarazem.

I, wpatrując się w tę twarz, miałam wrażenie, że człowiek ten miał ochotę uczynić to, co i ja w owej chwili: podejść do zbuntowanego malca, położyć mu rękę na ramieniu i powiedzieć poprostu:

— Słuchaj, nie bój się i nie udawaj. Tu ci nikt nie chce zrobić nic złego. Nikomu nie zależy tu, by

cię gnębić. Chcemy zrobić tylko tak, żeby tobie i z tobą było jaknajlepiej.

Było to wtenczas niemożliwe.

Ale sędzia Rollet znalazł sposób do omińnięcia starej procedury francuskiej. Poza posiedzeniami oficjalnymi, przyjmuje u siebie w zwykłym gabinecie rodziców, którzy nie umieją sobie dać rady z dziećmi i dziećmi, którym coś dolega. Tu Rollet mówi z nimi szczerze i poprostu.

Tu przewija się uliczny Paryż dziecięcy... Paryż trochę rodzicielskich, tragedij rodzinnych — sparzeń, win i krzywd — trudne węzły życiowych zagadnień, gdzie niewiadomo czasem, kto czyją jest ofiarą, kogo i za co tu winić.

Rollet dla tych ludzi jest postacią niemal mistyczną. „Placer chez monsieur Rollet“ oznacza w ich gwarze wogóle umieszczenie dziecka w jakiejś przystani życiowej.

Ma on wśród dzieci tak wielką popularność, iż znają go nawet szkraby, których sumienie nie zdążyło się jeszcze obciążyć. Jedną z pań doktorek opowiadała mi, że gdy w czasie odbywania praktyki w szpitalu usiłowała zaaplikować 8-letniemu bąkowi łyżkę rycyny, malec krzyknął oburzony:

— Pani chce mi dać oleju — ani myślę! Proszę się nademną nie znęcać, bo się poskarżę Panu Rollet!

— Któż to taki?

— Jakto — odpowiedział z najwyższym oburzeniem mały buntownik — pani nie wie? To obrońca wszystkich dzieci Paryża.

Opowiedziałam to zdarzenie sędziemu dopiero teraz w Genewie, kiedy spotkałam się z nim już bliżej w czasie obrad Komitetu opieki na dzieckiem przy Lidze Narodów. Był bardzo wzruszony.

— To najwyższa dla mnie nagroda — powiedział — dziecięcy order zasługi za moją 45-letnią pracę na tem polu.

— Czterdziestopięcioletnią!

— Tak, droga koleżanko, opiekuję się dziećmi przestępcami od roku 1884.

— Czy pan nie mógłby powiedzieć cośkolwiek o swej pracy, panie sędzio?

— Z przyjemnością. Od daty, którą wymieniłem, starałem się, jeszcze jako adwokat, stworzyć przed Trybunałem poprawczym Sekwany stałą obronę dzieci. Wówczas nieletni aresztowani, jak i dzisiaj przeważnie, byli sądzeni w 48 godzin po ich zatrzymaniu za włóczęstwo, drobne kradzieże i wykroczenia. Dażyłem więc do zmiany procedury, uzyska-

nia czasu, aby przed rozprawą zbadać charakter dziecka i przyczyny występku. Z badań tych wynikało jasno, iż większość tych dzieci nie nadawała się do umieszczenia w kolonjach poprawczych, lecz do opieki otwartej, lub zakładu czysto wychowawczego. Trzeba było skupić więcej rąk do pracy dla stworzenia tych rzeczy. Wtedy Jules Simon w r. 1887 zakłada Stowarzyszenie Opieki nad dzieckiem, w którym rozpoczęliśmy działalność teoretyczną i praktyczną na terenie przestępczości nieletnich. Początki naszej pracy rozwijały się w warunkach opłakanych. Nie było pieniędzy, nie było zrozumienia społecznego.

Zaczelśmy działalność od placówki bardzo skromnej: otworzenia w jednym ze starych sklepów przy ulicy de l'Ancienne Comedie pierwszego domu pracy dla młodocianych... Tak się szumnie nazywało... W istocie były to mizerne pokojczyny, gdzie jeszcze w dzień otwarcia zabiliśmy 28 szurów!

Na drzwiach został umieszczony napis: „Wszystcy chłopcy od 13 do 18 roku życia, którzy tu wejdą, będą mieli zaszczyt zarobić pracą na swe życie“. Od tego dnia tłumy maluczkich koczowników ulic Paryża ścigały do tej skromnej przystani... Czasem dziennie przewijało się do stu pięćdziesięciu chłopców. Godzina pracy uprawniała do spożycia posiłku — chętnych więc było wielu! Mielśmy kłopot, gdzie nocować te dzieci; wpadliśmy wtedy na całkiem nowy pomysł. Uzyskaliśmy od ministra wojny pożyczanie namiotów, mieszczących po szesnaście hamaków. Rozbiliśmy te namioty w dwóch miejscach: jeden koło stacji kolei obwodowej, drugi w Maisons Alfort. Tam nocowały nasze dzieci.

Ale skąd zdobyć siły na prowadzenie tej bandy w ciągu dnia w naszym domu pracy!! Uderzyliśmy do młodzieży. Sorbona, wydział prawny, szkoła w Chartes, szkoła Normalna dostarczyły nam dzielnych pracowników, którzy śpieszyli co dnia podać rzetelną dłoń naszym małym rozbitkom...

Byli wśród nich ludzie dziś szeroko znani... Abbé Sanson, Julleville i, jakże dzisiaj słynny, Albert Thomas! To była placówka, którą przyciągało się małych włóczykijów, gdy głód zbyt dotkliwie zaburzał im w żołądku.

Tam zaś łatwiej już było z nimi nawiązać kontakt... rozpytać...

Stamtąd rozsyłaliśmy zbiegów — do ognisk domowych, sieroty — do schroniska, starszych — do stałej pracy pod naszym nadzorem... Wszystko to bez przymusu, nakazów, drogą moralnego wpływu i zdobycia ich zaufania...

Zlatywali się do nas, jak wróble do rozsypanej garści zboża...

Taki był początek naszej pracy.

Zawsze wspominam go z rozrzewnieniem. I później, jak zostałem sędzią dla nieletnich, a wszystko zaczęło się rozwijać, rosć...

Dziś Patronage de l'Enfance przychodzi z pomocą 3.000 dzieciom Paryża, a ja... ja odchodzę na emeryturę.

— Jakto, pan sędzia?!

— Zwyczajnie. Jestem już za stary — 45 lat pracy! Będę więc znów tylko obrońcą moich dzieci. Wrócę do adwokatury. Tak, proszę pani: niejedne dzieci, których losami pokierowałem, są już dojrzałymi ludźmi.

— A czy zgłaszają się do pana później? Czy utrzymują kontakt?

— Naturalnie. Czasem przywitania, spotkania takie bywają bardzo wzruszające. Szofer taksówki, do której wsiadam, konduktor na kolei, robotnik, albo poważna matka, prowadząca maleństwo za rękę, witają mnie nagle serdecznym uśmiechem, schylają się do rąk.

Nie poznają ich, rzecz prosta, wtedy płyną wspomnienia:

„Pan sędzia mnie nie poznał? To ja Leon, co tyle panu sędziemu narobiłem kłopotu. Często myślę, że pan sędzia jest aniołem, że nie stracił cierpliwości w staraniu się o mnie. Okropny był ze mnie chłopak. Mój syn jest dwa razy lepszy, a ja z nim sobie rady dać nie mogę... I szczęście, że pana sędzię spotkałem; może pan sędzia i jego wykieruje na człowieka tak, jak mnie“.

— Pupilki moje również mnie nie zapominają... Biedne dziewczyny wciąż potrzebują pomocy! Ledwo sama wygrzebała się jako tako na równą drogę, wyszła zamąż, aż tu zaczynają się nowe biedy... Rodzą się dzieci, a w domu nędza. Albo są pieniądze, to znów mąż je przepija, często zaś niejednego rzuca kobiecinę.

Więc przychodzą z płaczem i lamentem. Odnajdują się po latach niepamięci, zatroskane, obciążone nowymi kłopotami i tym razem same proszą o pomoc.

— Perpetum mobile.

— I znowuż mają ją udzieloną tak, jak wtedy, kiedy byli małymi?

— Oczywiście! Pani sama najlepiej rozumie — podać człowiekowi rękę w życiu tylko jeden raz, nie zawsze wystarczy.

Trzeba ją ciągle trzymać w pogotowiu, a ten ktoś, kogo ratujemy, powinien w nas widzieć ostoję. Nie obawiam się nigdy dawać za dużo pomocy.

— I serca, panie sędzio?... Pan jest dla mnie uosobieniem dobroci! Dzieci muszą pana kochać — nieprawdaż?

— Moje nicponie? Niezłe dają sobie z nimi radę. Przeważnie jednak to małe, nieszczęśliwe nieszczęścia... Drzewiny wątłe i spaczone, rosnące bez podparcia.

— Słyszałem pani odczyt; powiedziała pani: wszędzie dzieci są te same i ci sami rodzice. Potwierdzam to całkowicie... (dok. nast.)

WITOLD ZECHENTER

## L I S T

*Piszesz listy na lila papierze  
(co oznaczać może papier lila?) —  
ale ja już w twoje słowa nie wierzę —  
one kłamią, choć są takie mile.*

*Kłamią! Jakże możesz mnie pamiętać  
po miesiącach rozłąki dalekiej?  
czemże mogę być dla ciebie więcej,  
jak nie w przeszłość odeszłym człowiekiem?*

*Piszesz: „Wrócisz — i nasze dni wróca...”  
Wróć — ale naszych dni nie będzie  
już w mem sercu... Będzie tylko smutek,  
który ze mną jest... I tu. I wszędzie.*

*I nie będę walczył już daremnie  
o to słońce, co dla mnie zagasło,  
bo po tobie pozostała we mnie  
baśń o tobie. Ta moja. Ta własna.*



KAZIMIERA MAZURKOWA.

3)

## NIEUDANA SPRAWA

— Właśnie mnie chodzi o to samo — powiedziała spokojnie Agata — i dlatego przyszedłam do pana, abyśmy działali wspólnie. Pan wie, że to moja specjalność. Radabym pomóc Minie — i panu. Nie trzeba tracić ani chwili, aby jej postanowienie nie zakorzeniło się na dobre. Niech pan jedzie do niej — jest u matki — i rozproszy jej niezadowolenie za wszelką cenę.

Pan Karol posepnie patrzył w ziemię.

— Nie podoba mi się to wszystko — rzekł wreszcie — ta obraza i jazda do matki. Wolałbym zawierać umowy handlowe, niż małżeńskie, i kierować łodzią, niż kobietą. Kiedy kocham, nie uznaję kompromisów, i chciałbym, żeby ze mną postępowano podobnie. A te jakieś obrazy, drwiny, rozwody — to nie w moim guście. Minie się zdaje, że ja na to mam czas, tymczasem, naprawdę, wolałbym ciężko pracować, niż toczyć takie układy, i to z nią.

Poszedł się ubrać, a Agata czekała na niego, chcąc zapytać go o plan działania. Ale widać nie wyluszczył jeszcze całej swojej myśli, bo powróciwszy dość prędko, powiedział do niej, jakby streszczając swój pogląd na sprawę:

— Chciałbym od niej tylko jednego: żeby była dobra i żeby mnie kochała.

— Właśnie kocha! — przekonywała go Agata. — Chodzi tylko o to, czy potraficie przejść oboje w imię tej miłości po dzisiejszem nieporozumieniu, aby dążyć ostatecznie do zgody.

— Pani się zdaje, że to chodzi tylko o dziś! Mina spóźnia się stale, może niezawsze tak bardzo, ale nie zdarzyło jej się przyjść punktualnie na spotkanie ze mną. Lekceważy sobie te spotkania. Może inne randki traktuje sumiennie — ale mąż! Niech poczeka. Uważa umowy ze mną za małoważne. I w tem jest jej cały stosunek do mnie.

Agata przyjrzała się bacznie panu Karolowi: był strasznie zły. Pomyślała, że ciężka ją czeka robota, aby pogodzić tych dwoje. Zdumiewała ją nagła przemiana cichego męża Miny, który rzadko kiedy zabierał głos w towarzystwie, gdzie jego żona królowała bezsprzecznie. Duże niebieskie oczy, które zawsze dotąd miała za łagodne, wyrażały zaciętość i głęboką urazę, a w słowach Karola dzwięczał ton gniewu. Szedł naprzód bardzo prędko, nie zwracając uwagi na swoją towarzyszkę.

— Idę teraz do Miny — powiedział, zegnając się z Agatą na skrzyżowaniu ulic — i rozmówimy się. Po raz pierwszy może, jako dwoje równych ludzi.

Roześmiał się, pokazując białe, mocne zęby, lśniące jasnością w opalonej twarzy. Agata popatrzyła za nim, gdy odchodził wysoki, barczysty, wspinały.

— Głupia Mina! — pomyślała.

## IV.

Wogóle sprawa nie zanosila się na udaną, i wszyscy to widzieli. Jedna Agata uparła się, żeby ich po-

godzić za wszelką cenę. Tak bardzo wzięła do serca ich nieporozumienie, że nie jadła i nie spała, tylko studjowała różne dysertacje filozoficzne, albo zawzięcie starała się przekonać panią Jankę o możliwości pomysłnego zakończenia sporu. Pani Janka zaś, o ile nie mogła znaleźć odrazu szeregu argumentów, któremi ją fachowo przypierała do muru, to mówiła poprostu, jako niegłupia osóbką, że Mina ma przewrócone w głowie, i że takiego małżeństwa, jak państwo Lempke, wogóle drutować nie warto.

Agata czuła sama, że od początku cała sprawa rozwijała się nie po jej myśli. Gdy rozstała się z panem Karolem, idącym pomówić z Miną, była prawie pewna, że cała historia skończy się na nieco burzliwej rozmowie, lekkich dąsach po usłyszeniu kilku słów prawdy, aż zostanie zlikwidowana w czułych, rozkochanych przeprosinach. Tymczasem Mina, która postawiła męża w stan oskarżenia znacznie cięższego, niż przypuszczała Agata, zatraciła odrazu o sprawy pieniężne. Lempke, czuły na stronę finansową każdej instytucji, dał się unieść swemu temperamentowi przemysłowca.

Zamiast ustalać wzajemne porozumienie, rzucano szeregi cyfr, i w sprawie ich wysokości rozogniła się dyskusja. Skoro raz już sprawa weszła na takie tory, nie można było rokować jej wielkich nadziei. Mimo to, Agata nie opuszczała rąk. Dowiedziała się przedewszystkiem, z jakiego rodzaju trudnościami połączony jest rozwód w kościele reformowanym. Miała nadzieję, że korowody rozwodowe zrażą Minę, sprawa ulegnie zwłoce i może pójdzie w zapomnienie. Ale trudności nie były wielkie, chodziło więc raczej o stronę materjalną, która zależała już tylko od umowy między Karolem, a Miną. I właśnie pieniądze stanowiły jedyny szkopuł. Stanąwszy w obliczu nowych komplikacyj, Agata odnalazła adwokata, który od szeregu lat prowadził sprawy finansowe Lempków, i po pewnem wahaniu udała się wprost do niego.

Ale piękny i wytworny pan nie podzielał jej oburzenia na projektowany rozwód.

— Mój szanowny klient i jego żona — oświadczył jej otwarcie — są najzupełniej uniezależnieni majątkowo od siebie. Nie będę tał przed panią, że majątek pana Lempke wzrasta z roku na rok. Ale sumy jego żony, aczkolwiek ulokowane na jego garbarni, stanowią kapitał ruchomy i mogą być wycofane w każdej chwili. Tak, że ja — mówił z naciśkiem, spoglądając uważnie na Agatę — nie widzę powodu, dla którego ich rozwód miałby być nie do przeprowadzenia. W każdym razie, materjalnie nie stracą na tem napewno.

— Ale moralnie! moralnie! — zawołała Agata, zrywając się nerwowo z krzesła. — Gdzież tu poszanowanie umów, gdzie podstawa społeczeństwa, gdzie jakkolwiek ład i porządek?! Ręczę panu, że parę miesięcy nie minie, a będą szczerze żalowali tego szalonego kroku!

Wymowa dyskretnego uśmiechu i charakterystycznie rozłożonych rąk ujawniła zupełną obojętność adwokata na te przewidywane, przyszłe żale.

Dotknięta do żywego i bezradna, a jednak nie dająca jeszcze za wygraną, udała się ostatecznie do profesora Miklasa. Przyjął ją, jako gościa nader miłego, choć zupełnie niespodziewanego, i z ogromnem zaciekawieniem wysłuchał jej opowiadania o toku sprawy. Dotąd nie wiedział o niczem. Chodziły wprawdzie głuche wieści o rozwodzie pani Miny, ale o kim to teraz nie mówią, że się rozwodzi?

Agata miała mocne rumieńce na policzkach, a lzy oburzenia błyszczały w jej ładnych oczach, gdy mówiła z zupełnem zaufaniem o swej bytności u adwokata.

— Straciłam prawie nadzieję, profesorze, aby mi ktokolwiek pomógł — zwierzała mu się. — Ludzie są dziwnie obojętni na rzecz tak niesłychanie doniosłą, jak rozwód. Nie rozumieją, do czego uprawniają społeczeństwo, wydając milczeniem aprobatę dla bezkarnego przekreślenia dobrowolnie przyjętych zobowiązań...

Wpadłszy na ulubiony temat, puszczała cugle swej wymowie. Teraz zaś wiedziała, że słuchają jej słów uszy rozumne i zupełnie fachowe.

Profesor, oczywiście, nie silił się, aby jej przerwać. Słuchał cierpliwie, a kiedy po półgodzinnej przemowie poprosiła go o radę, zapytał:

— No, tak. Ale ja niezupełnie rozumiem, o co pani idzie. Czy zechce mi pani powiedzieć, czemu to panią tak obchodzi?

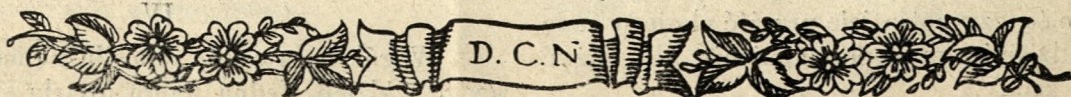
— Dla zasady — odpowiedziała — i z przyjaźni dla Lempków. Przytem założyłam to biuro, wie pan, o którym mówiliśmy wtedy u Miny. I to jest moja pierwsza poważna sprawa.

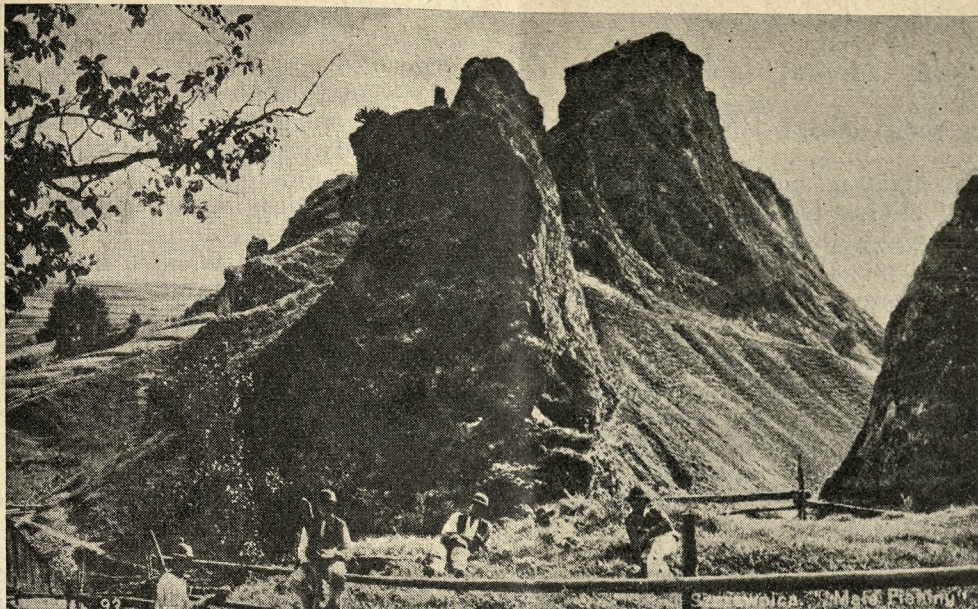
— Hm... I nie idzie?

— Jak pan widzi. Poprostu pozostaje sądzić, że niema rozwiązania. A przecież każda rzecz musi mieć jakieś wyjście.

— Pierwsza sprawa... To poważne! — namyślał się profesor, najeżając zwykłym swoim ruchem brwi gęste i rosochate.

Chwilkę milczał, rozmyślając tak zawzięcie. Zatarł ręce. Spojrzał bystro na Agatę i odwrócił się od niej. Wreszcie przemówił:





Szczawnica. — Małe Pieniny.

JADWIGA KIEWNARSKA

## OD CZORSZTYNA DO SZCZAWNICY

Jeszcze w Warszawie mówiono mi, że, jeżeli już będę w Żegiestowie, to muszę koniecznie, a koniecznie odbyć przejażdżkę Dunajcem, od Czorsztyna do Szczawnicy, że ma to być jedna z najpiękniejszych wycieczek w Polsce, a może i wogóle na świecie.

W Żegiestowie mówiono to samo.

Wybraliśmy się więc któregoś słonecznego, niedzielnego rana. Pięknie było od początku, bo to i góry i srebrzysty Poprad sumiennie towarzyszyły wszystkim spacerom we wszystkie strony.

W Krościenku wypadło zapytać policjanta o dalszą drogę do Czorsztyna, ale zanim zdążył odpowiedzieć, przy samochodzie wykwiłł góral, niebardzo już młody, lecz śmigły, jak sosna, a dostoyny, niczem grand hiszpański.

— A dokąd to Pan Bóg prowadzi?

— Do Czorsztyna, na łódki.

— No, to ja jestem właśnie łódkarz.

Brzmiało to tak, jak: to właśnie ja jestem dowódcą zjednoczonej armji.

Wnet też wmeldował się do auta i objął bezapelacyjnie komendę nad dalszą marszrutą wyprawy. Okazało się, że, zanim wsiądziemy na łódki, musimy koniecznie obejrzeć ruiny zamku w Czorsztynie. Wdrapujemy się posłusznie na dość strome wzgórze, co wobec południowego skwaru do przyjemności nie należy. Podziwiamy z rezygnacją ślady dawnej fosi i wałów obronnych, resztki wykruszonych ścian... Z za murów wylania się jakieś towarzystwo, które już dopełniło obowiązującej ceremonji zwiedzenia ruin. Entuzjastyczne okrzyki pod adresem naszego przewodnika:

— A, admirał!... Czołem admirałowi!...

Ho, ho, widać, że mamy do czynienia z personą nielada.

Jest tu i „stary sługa“ w surducie do pięt,

niegdyś zapewne czarnym, dziś od słońca i kurzu szaro-zielonkawym. Podobno opowiada „historję zamku“. My, niestety, nie mamy czasu na jej wysłuchanie. Tknięci nagłem przecuciem spieszymy z powrotem do samochodu. W samą porę. A właściwie, już nie w porę, gdyż jesteśmy tylko bezsilnymi świadkami katastrofy: pędzący z góry samochód wpada na nasz wóz, stojący na skraju szosy... Chwila przerażenia... Bezladne okrzyki... Z cienistego rowu wylania się zaspiany łeb naszego szofera, który, wierny swemu zwyczajowi, korzysta z byle sposobności, aby uciąć znakomitą drzemkę. Awantura!

Po wymianie kilku lakonicznych, choć niekoniecznie uprzejmych zdań, między właścicielami wozów, stwierdzamy z ulgą, że nic się właściwie nie stało. Przynajmniej nic groźnego. Trochę wgięty błotnik i kilka zadrapań emalji. Motor w porządku. Ruszamy.

Podekscytowane incydentem nerwy uspokaja srebrzący się błękit wód Dunajca. Przy brzegu łódzie. Dziwne łódzie: drażone w pniu, wiązane po cztery pętami jedliny, a na tem ustawione ławki, ławki o miękkich, komfortowych siedzeniach, krytych czarną ceratą. Prymityw i wygoda. „Admirał“ zaprasza do łodzi. Jest i jego syn, Franek, rumiany, jak jabłko malinowe. Nie zdążyłam zauważyć, skąd i kiedy znalazł się przy łodzi.

Po tamtej stronie Dunajca też widać jakieś ruiny. Rumiany Franek informuje nas, że są one częściowo odrestaurowane i zamieszkałe przez właścicielkę dóbr, niejaką baronową Salomorka, węgierkę.

— Ona jest już wdowa, ale jeszcze trochę młoda.

Co za szkoda, że nie możemy jej złożyć wizyty. Bardzo ciekawa tej „jeszcze trochę młodej“ wdowy, mieszkającej w ruinach. Może to jakie wcielenie królowej Saby, Salomonowej żony?

— A jak się nazywa ta tam wieś?

— To Sromowce Wyżne.

Sterujący wiosłem „admiral” łapie mnie bez ceremonji za stopę.

— Dobrze się wam jedzie? He?

— Świetnie.

Pięknie jest wszędzie, na ziemi, niebie i wodzie. Pięknie i spokojnie. Chłodny błękit rzek, ciemna zielen lasów i skomplikowane desenie łąnów nierównomiernie dojrzewających zbóż.

— To wszystko jeszcze nic. Dopiero w Pieninach, to będzie naprawdę pięknie.

Atrakcja. W wodzie stoją cyganie i przygrywiają nam do słuchu. Widocznie stała to, miejscowa kapela, bo wiedzą doskonale, gdzie się trzeba ustawić, aby łódź ich w żaden sposób nie mogła ominąć. Mały cyganek złapał w powietrzu srebrną monetę i tak się cieszy, że aż skacze, chlapiąc, w wodzie. Niestety, nie zdążyliśmy go sfotografować.

— A to co nowego?

W wodzie kupa dzieci, niosących jakieś różgi, obwieszane gałgankami i obrzynkami bibułki. To... bramy triumfalne. Dzieci ustawiają się parami, trzymając owe różgi, wygięte w łuk, ponad naszymi głowami. I też wiedzą doskonale, któredy musimy przejechać. To stały proceder.

„Bramy triumfalne” tak się na naszej drodze mnożą, że to już przestaje być zabawne. Zwłaszcza, że i drobnych nam brakuje. Jedyny męczyzna daremnie wywraca kieszenie zdjętej marynarki.

— Idźcie dzieci do domów, pozaziębiacie się, stojąc w tej zimnej wodzie.

Akurat usłuchają.

Jeszcze jedna cygańska kapela wodna. Brrr... Nam się już też robi zimno. Od nadbrzeżnych lasów idzie wilgotny, ciemny cień. Zjabłoby się coś...

„Admiral” pamiętał o wszystkim, o wszystkim pomyślał, wszystko przewidział. Właśnie niedługo będzie wioska, w której można się posilić.

— Jakże się ta wioska nazywa?

— Sromowce Niżne.

Tam do djabła! Czy tu wogóle innych nie bywa?!...

Ale wysiadamy, oczywiście, skwapliwie w tych „Sromowcach” i idziemy pokornie śladami „admirala”. Drewniany domek, oklejony pstremi reklamami piwa, Norblin pinxit. Wewnątrz drewniane stoły i ławy. Bryndza znakomita, piwo po przejażdżce też świetnie smakuje. Ale gdzie nasz „admiral”? Oho, w sąsiedniej izbie jest ich aż dwóch, podobniuteńkich, jak dwie krople wody. Sobowtór naszego przyjaciela objaśnia dumnie:

— To je mój brat wiceadmiral, admiral jestem ja.

A na dowód wyciąga z zanadru numer Światowida, gdzie rzeczywiście na okładce widnieje podobizna wspaniałego górala i stoi wydrukowane, jak wół: „Józef Kuterba, zwany admirałem floty dunajskiej”. Nie wdając się w dynastyczne spory braci Kuterba, wracamy do łodzi i układnie w dalszym ciągu mówimy do naszego przewodnika i opiekuna, p. Jana Kuterby: admirałe. Zresztą do podporucznika też się mówi: poruczniku.

I wogóle, ktoby się nad takimi marnościami świata zastanawiał, kiedy oto właśnie... Pieniny. Dotąd było dookoła pięknie i pogodnie. Teraz jest pięknie i groźnie. Góry, dotąd wdzięczące się zdala koronką zębatach szczytów, teraz zwarły się nad brzegiem,

chłodem kamiennych ścian. Dunajec pieni się i parska ze złości, zamknięty w ciasnym, skalistym wąwozie.

— A to dlatego właśnie Pieniny, że się pieni — powiada, modrooki Franek, odsłaniając w szczerym śmiechu dwa rzędy równiuteńkich, białych jak ser, zębów.

Franek jest nieoceniony, wszystko wie i wszystko opowiada.

— A to jest właśnie kamień, z którego skoczył Janosik, kiedy go austriackie żandarmy goniły. Tu stanął, a tam na drugi brzeg skoczył. A żandarmy za nim i... wszystkie w wodę. A woda tu głęboka!... Ho...

— Obiecał nam Franek zaśpiewać, kiedy już będziemy w Pieninach.

Nie każe się prosić:

„Hej, na wirzycku stała  
Hej, harno się widziała  
Kiej ja ku niej psysedł  
Hej, jeden ząbek miała, Heeej!...”

No tak. A dalej?

„Hej na wysokiej turni  
Cosik się tak cyrni.  
Hej, cy to kupa gnoja?  
Cy dziewczyna moja? Heeej!...”

Hm, mam wrażenie, że galanterja względem płci pięknej nie należy do kardynalnych cech tego małowniczego ludu. Przynajmniej w piosence. Bo w obejściu są obydwaj panowie Kuterba wzorami kurtuazji. Franek śpiewa nam jeszcze o tym, jak to „w murowanej piwnicy tańcowali zbójnicy”, i o Janosiku, i o tem, że górale „nie stale kochają”, i o dwóch warkoczach dziewczyny, któremi się można tak doskonale podzielić. Opowiada, że tą samą wycieczkę przed dwoma miesiącami odbywał polski Pen-Club i jego goście. A na łodzi „admirala” byli „janglicy” i bardzo się dziwowali, a jechali, choć deszcz był okrutny.

O każdej górze ma Franek coś ciekawego, coś ściśle osobistego do opowiedzenia.

— Te tam, takie przysadziste skały, to są „babw”. A ta przed niemi, taka pękata, to „teściowa”. Baby ją z pomiędzy siebie, lat temu kilka, wypchnęły. Jedną górę nazywa się Kopa Siana i rzeczywiście tak wygląda. Inne znowuż, ciągnące się rzędem i sfaldowane — „Baranie Flaki”. Są i „Mnichy” i „Mniszki”.

Franek tłumaczy co, jak i dlaczego: gdzie są kaptury, gdzie oczy („o te tam krzacki”), gdzie brody i skrzyżowane lub wskazujące ręce. Radabym to wszystko zobaczyć, ale ani rusz, nie mogę. „Siodełko” owszem, rzeczywiście wygląda, jak siodełko.

Nad wszystkim dominują wspaniałe „Trzy Korony”, przez cały czas wycieczki z coraz to innej strony widoczne i zawsze zda się bliskie, choć dalekie w istocie. Majestatyczne, wspaniałe, naprawdę mające kształt zsuniętych koron.

Gdzieś w górach mieszka tu, podobno, pustelnik, który częstuje wycieczkowiczów gorącą herbatą, przyjmując za nią „co łaska”.

— I tyle sobie uciuchał, że pojechał sobie w roku zeszłym do Rzymu — powiada Franek, z zazdrosnem trochę uznaniem.

Pustelnik ten nie cieszy się u miejscowej ludności



zbyt wielkim szacunkiem, bo „nie jest stary i nie jest ksiądz“. Jak to trudno wszystkim dogodzić. Właśnie te dwa powody niesłychanie podniecają moją ciekawość. Ale niema czasu na odwiedziny pustelnika. Musimy być w domu przed nocą. Łódź, kierowana wytrawną ręką, przesuwa się łagodnie przez wysokie, kamienne progi Dunajca. O, to już niestety Szczawinica, gdzie czeka na nas auto i niewątpliwie śpiący szofer. Brzegi zapstrzone przez letników. Wita nas triumfalnie jeszcze jedna cygańska kapela. Żegnają

się, z godną hiszpanów grandezą, „admiral“ i jego syn.

Sądzonem nam było jeszcze otrzymać wieści od jego admirałkiej mości. Najmłodsza uczestniczka naszej wycieczki posiała na jakiejś zatraconej, górskiej łączce szary futerał od swego najdroższego Kodaka. I ten to futerał wrócił do nas pocztą. Na paczce był napis: nadawca — Jan Kuterba.

— Czołem admirale.

## Ś. P. ANNA HARLAND-ZAJĄCZKOWSKA

(Z powodu wystawy pośmiertnej w „Zachęcie“).

Córka znanego dziennikarza lwowskiego, Libelta Zajączkowskiego, odziedziczyła po ojcu bujny temperament artystyczny, wrażliwość i inteligencję. Już od lat dziecinnych przejawiało się w niej zamiłowanie do malarstwa i rysunku; we wczesnej młodości odbyła studia artystyczne w Paryżu i w Monachjum, gdzie talent jej w dobrej szkole rozwinął się oryginalnie i szlachetnie. Po powrocie do kraju osiadła we Lwowie, i tu oddała się pracy malarskiej oraz pedagogicznej.

Duch niespokojny, nie idący po utartych ścieżkach łatwego wypowiedzenia się i naśladownictwa szuka wciąż i po licznych próbach dochodzi do własnej, ciekawej techniki, przypominającej jakby emalję ze specjalnym wizerunkiem.

Dlatego też w technice tej najlepiej wychodziły małe rozmiarami obrazki, przy uproszczonych płaszczyznach. Stylizowane jej portrety przypominają cokolwiek Ślodzińskiego, jakkolwiek daleka była od naśladowania. Wyrobiła sobie specjalność w stylizacji pejzażu, oraz w oryginalnej grafice.

Dzieła jej ukazywały się niejednokrotnie na wystawach w Warszawie, w Krakowie, w Poznaniu, i traktowane były zawsze przez krytykę z wielkim uznaniem z powodu bujnej inwencji twórczej, oryginalności podejścia do modelu, kompozycji i techniki, oraz staranności wykonania. Projektowała też ś. p. Zajączkowska wiele plakatów artystycznych, wignet i t. p.

Jako nauczycielka rysunków w szkołach średnich (Gimnazjum im. Królowej Jadwigi) ceniona była z powodu swej sumienności w nauczaniu. Z zamiłowaniem urobiła u uczennic swych samodzielność traktowania przedmiotu, jak o tem świadczy pomieszczona w sali IX „Zachęty“ wystawa jej uczennic p. t. „Sztuka Dziecka“. Pokaz ten zainteresuje napewno nie tylko pedagogów, ale i szersze warstwy, którym nieobca jest psychika dziecka.

Niezmiernie czynna na różnych polach, należała do założycieli „Związku Artystów“ i „Związku Dziesięciu Plastyków“, zajmowała się przemysłem artystycznym, brała czynny udział w przygotowaniu pokazu pracy artystycznej kobiet na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w 1929 r., w wystawach przemysłu artystycznego, pisała artykuły, pracowała w organizacjach gimnazjalnych. Była najlepszą koleżanką, wierną zawsze w przyjaźni, a pod pokrywką pewnej kañciastości kryło się serce niezmiernie czułe, nie tylko na piękno, ale i nędzę ludzką, któ-

ra łagodziła, ile tylko mogła. Uczennice uwielbiały ją, artyści poważali i uznawali, każdy, kto ją bliżej poznał, kochał dla prawości niezłomnego charakteru i umyślnie tajonej dobroci. Podczas wystawy zbiorowej w Krakowie, Muzeum Narodowe zakupiło dwa jej obrazy do swoich zbiorów.

Odeszła w 46 roku życia, w pełni sił twórczych, kiedy talent jej nabierał coraz ciekawszego rozmachu i krystalizował swe indywidualne pierwiastki.

J. L. W.



Uliczka w Raguzie. Harland-Zajączkowska.



*Grupa uczestniczek Olimpiady.*

*Photo Plat.*

## TRZECIE IGRZYSKA KOBIECE

Wielkie wrażenie w świecie sportowym wywołały III-cie międzynarodowe igrzyska kobiece, które odbyły się w Pradze, w dniach 6, 7 i 8 września.

Igrzyska te stanowią przełomowy moment sportu kobiecego, który zaczyna nabierać wszechświatowego rozgłosu.

Przedstawicielki 17 krajów Europy, Ameryki

i Azji stanęły na stadionie praskim w liczbie 300. Cyfry te są wymownym dowodem rozwoju sportu w świecie kobiecym.

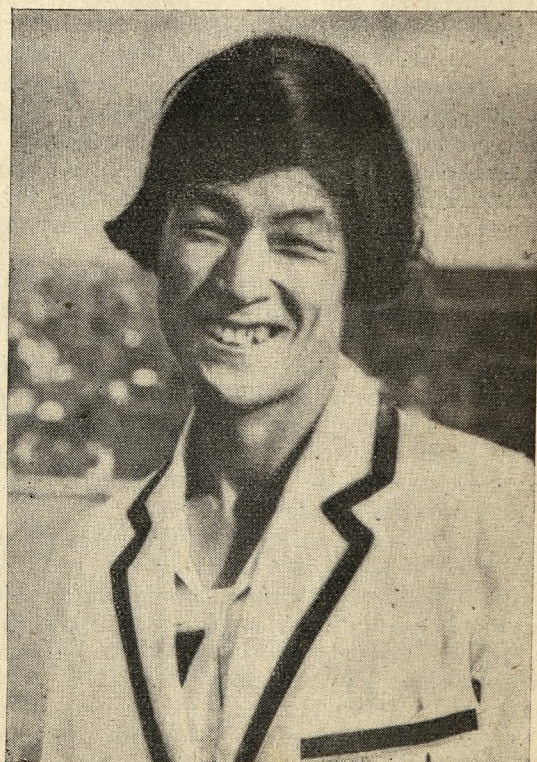
Rzecz oczywista, że w pierwszym rzędzie interesować nas będą nasze zawodniczki, ich gra, ich uplasowanie i powodzenie.

Polskę reprezentowały: Konopacka, Walasiewicz



*Wallasiewiczówna i Konopacka.*

*Jan Rys.*



*Hitomi.*

*Photo Plat*

czówna, Schabińska, Orłowska, Kilosówna, Freiwaldówna, Lewinówna, Jasińska, Hulanicka, Kobielska.

Należy jeszcze wspomnieć, że nasze zawodniczki przed olimpiadą odbyły 6-cio tygodniowy kurs w specjalnym obozie treningowym na Bielanach, w liczbie 22-ch, z których wyeliminowano 10, jako reprezentantki.

Warunki, w jakich odbywały się ćwiczenia, były naprawdę idealne. Składały się na nie: piękna okolica, wspaniałe powietrze i pogoda; higieniczne mieszkanie, doborowe jedzenie, wzorowa sala gimnastyczna i boisko. Wszystko to pozwalało na przeprowadzenie jak najbardziej racjonalnego treningu.

Polska drużyna została specjalnie owacyjnie przywitana na dworcu praskim. Konopacka zaś, jako kapitan, otrzymała w darze piękny bukiet kwiatów.

Nasze zawodniczki, po zwiedzeniu miasta, zapoznały się z bieżnią i swymi rywalkami. Stadjon jednakże nie był zbyt idealny, gdyż służył głównie do wyścigów konnych i zawodów motocyklowych. Jednakże, przybrany na igrzyska flagami 17-stu narodów, startujących, robił wrażenie imponujące.

Pomimo chmurnej pogody 25-tysięczny tłum zgromadził się na trybunach stadjonu, witając owacyjnie ukazujące się zawodniczki i oczekując z napięciem nerwów rozgrywek.

Na stadjonie miejskim ukazują się drużynami reprezentantki państw, prowadzone przez swe kapitaniki.

Na szczególną uwagę zasługują niektóre drużyny, ze względu na niezwykle wyrównany zespół, zwłaszcza niemki, inne zaś zachwycają ślicznymi kostjumami, jak włoszki w swoich „azzuri”. Nasze panie prezentują się pięknie w swych biało-czerwonych kostjumach. Najliczniejsza natomiast była drużyna austriacka.

Po szeregu przemówień, odegraniu hymnu, padł strzał armatni, a chmara gołębi, na znak otwarcia igrzysk, wzbiła się nad stadjonem.

Drużyny defilują w porządku alfabetycznym, a Ulrychowa, znana zawodniczka czeska, niesie sztandar Federacji kobiecej z trzema kółkami.

Wstępem do zawodów były przepiękne pokazy gimnastyczne sokoliczki czeskie, wykonane pomysłowo w takt muzyki.

Po wezwaniu zawodniczek przez megafon, napięcie publiczności wzrosło, gdyż zawody zaczęły się.

Trudno nam tu opisywać poszczególne rozgrywki i ich przebieg, ograniczamy się tylko na podaniu wyników.

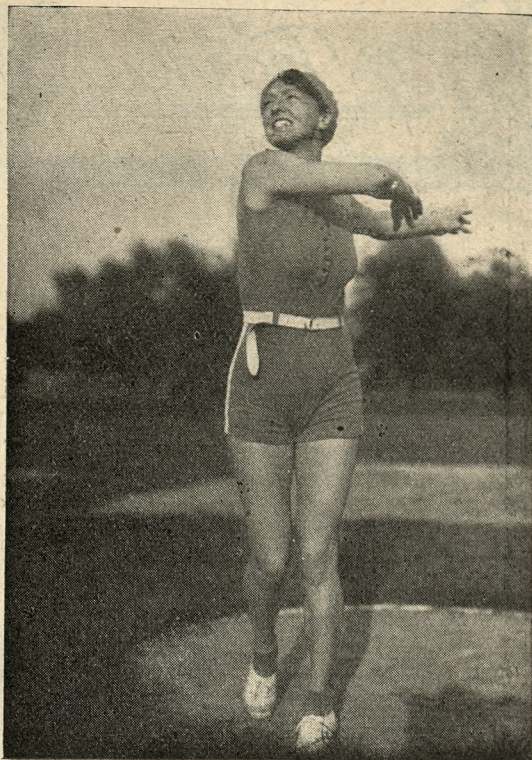
Wyniki zawodów były następujące:

**Bieg 60 metrów**, finał: Walasiewiczówna przybywa pierwsza do mety, a za nią Gelius (Niemcy) i Hitomi (Japonia).

**Rzut dyskiem**: Konopacka-Matuszewska, będąc w doskonałej formie, uzyskała bez trudu 36,80 metrów. Niemka 35,82 i włoszka 35,23.

**Bieg na 100 i 200 metrów** zdobyła Walasiewiczówna, którą uznano za najszybszą kobietę w świecie. Pobiła ona Niemcy i Anglię.

Ze szczególnym napięciem oczekiwała publiczność spotkania się Walasiewiczówny ze słynną atletką japońską Hitomi, która niestety, widząc doskonałą formę naszej rodaczki, wycofała się z biegu.



Konopacka w chwili rzutu.

Photo Plat.

**Bieg 80 metrów z płotkami**: Szwecja zdobywa pierwsze miejsce przed Niemcami i Polską.

**Bieg na 800 metrów**: pierwsza przybywa Anglia, dystansując Niemcy i Polskę (Kilosówna).

**Rzut oszczepem**: zdobyły Niemcy, dając wynik lepszy od rekordu światowego. Jednak nie będzie on uznany z powodu sprzyjającego wiatru. Polki odpadły w przedboju.

**Trójbój** (bieg 100 metrów, skok wzwyż i rzut oszczepem): pierwsze miejsce zdobywa Niemka, drugie Japonia (Hitomi).

**Skok w dal**: Hitomi nie zawiodła oczekiwań, zdobywając klasycznie pierwsze miejsce przed Niemcami i Szwecją. Punkt ten był najciekawszy, ze względu na Hitomi, która jest tu bezkonkurencyjna i jedyna. Polki w skoku w dal nie startowały.

**W sztafecie biegi 4×100** zdobywają: w pierwszym przedbiegu Anglia, w drugim Niemcy i Polska.

**Koszykówka**: Kanada pokonała Francję.

**Hazena**: w meczu tym sławna drużyna czesko-słowacka pobiła drużynę polską i jugosłowiańską.

Również ciekawa była rozgrywka **piłki ręcznej** o mistrzostwo świata, w której Austria wygrała z Niemcami.

Po powyższych rozgrywkach, dzięki doskonałym wyczynom Walasiewiczówny i Konopackiej, Polska uzyskała w ogólnej punktacji drugie miejsce na ogólną liczbę 17 państw, biorących udział w igrzyskach!

Dwudziestopięcio-tysięczny tłum przywitał oklaskami zwycięstwo naszych zawodniczek, dzięki którym, nasz sztandar polski, przy dźwiękach hymnu narodowego, dwukrotnie wznosił się na maszt olimpijskiego stadjonu.

Emka.



TEATR LETNI.

„Wszyscyśmy tacy sami“, komedia w 3 aktach Fryderyka Lansdale. Przekład W. Horzycy.

Sensem moralnym tej komedyjki o możliwościach zdrady małżeńskiej może być przypowieść o źdźble w oku bliźniego, a belce w oku własnym. Skłonni jesteśmy sobie przebaczyć wiele, natomiast wybuchamy oburzeniem, gdy te same grzeszki zobaczymy u innych, szczególnie, gdy mogą nas one dotknąć lub skrzywdzić. Cała ta teza przeprowadzona jest w sztuce w sposób dość naiwny, przypominający, zresztą, przemile powieści angielskie, pisane przez zacne, stare panny z tą znajomością życia i ludzi, jaka właściwa jest... angielskim podlotkom w wieku lat 60. Więc mamy naturalnie ulubione środowisko lordów, śmieszna parę: pastora i pastora, nawet hindusa, który jest dziwną mieszaniną dziecka z gentlemanem, — wogóle wiele hałasu o jeden pocałunek, poczem wszystko kończy się pogodzeniem się młodej zwaśnionej pary, a skojarzeniem starej. Przy tej sposobności pokazano nam Smosarską, jak na ekranie; Owerlo w roli starego lorda wybuchał co chwila młodzieńczym śmiechem, a Solska przywdziewała suknie, jak marzenie, i cedziła słówka z taką precyzją, jakby chodziło o paradoksy Wilde'a, a nie o wydanie się za starego lorda. Chaveau była rozkoszna, jak zwykle, a na widok hindusa wrzasnęła „dzikus!“ z tak niekłamaniem prerażeniem, że cały teatr zatrzęsł się ze śmiechu i od oklasków.

Wogóle (była to sobota) mieliśmy daleko przyjemniejszy week-end od pana Lenczewskiego, któremu włożono na głowę gorący okład, imitujący turban, i kazano „robić“ hindusa, który chciał być kochankiem, a musiał zostać gentlemanem, gentlemanem i jeszcze raz gentlemanem.

S. P. O.

Z KSIĄŻEK

Hanna Mortkowiczówna: „Niepotrzebne serce“. Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie. 1950.

Nadmierne bogactwo młodości — to skarb, który za nic na świecie nie chce zostać martwym kapitałem: pragnie być w ciągłym ruchu, domaga się wysokiego oprocentowania. A kiedy dostanie się w ręce nieubłaganego bankiera-życia, wówczas następuje zawikłany „Rachunek“.

„Chociaż kanon miłości jest twardy, jak spiz,  
Zmienny przypadek losu sumuje rachunki,  
Życie liczy wyznania, mnoży pocałunki,  
Stawia minusy straty i połączeń krzyż.“

Działania są tak różne, pewnośc tak znikoma:  
Uniesienia, zaklęcia, niepokoje, lzy...  
I tylko jedna, jedna, jedna niewiadoma —  
Serce, jak gołąb drzące, w piersi, która drży“.

Okolo tej „wielkiej niewiadomej“ obracają się nawpół liryczne, nawpół refleksyjne zwierzenia, zamknięte w miarowych, starannie polerowanych urnach strof, z których bucha piekący płomień niedosytu i sączy się „gorycz wiośniana“, gorycz młodzieńczego zawodu.

„Niepotrzebne serce“!

Jakże łatwo wydaje się ten wyrok bez egzekutywy na tego zbrodniarza i pasożyta, bez którego nie umielibyśmy żyć, na to zero, bez którego nasze indywidualne wartości zmalałyby dziesięciokrotnie. Z tego serca, z jego porywów, wzruszeń, zadumy, zniechęcenia, zawodu i rezygnacji powstał tomik poetyckich notatek na marginesie uczuciowego pamiętnika. Troska o dokumentalną ścisłość w odtworzeniu wewnętrznego przeżycia walczy tu z instynktem artystycznej krystalizacji, nakazującym zamknięcie faktu w syntetycznej bryle formalnej. Stąd pewne niedociągnięcia w konstrukcji niektórych wierszy, pewna monotoność podejścia do tematu, która tłumaczy się stanowiskiem autoanalitycznego podsłuchu do materiału psychicznego.

Skala szerokości wyznania nie może być jednak stosowana jako sprawdzian krytyczny. Wszędzie, gdzie poetka przeciętna nawyk zatapiania się w sobie, gdzie wychodzi poza krąg ścisłego egotyzmu i erotyzmu, np. w „Depszy“, lub „Starym Kirkucie“, tam osiąga pełnię artystycznego wyrazu, soczystość wokalną i dojrzałość konstrukcji. Z gąszczy własnych cierni trafia „w żywe serce świata“.

S. P. O.

T. Micinkiewicz: „Tajemnice ekranu“. Wyd. M. Arcta. 1950.

Książka ta zadowolni głównie tych licznych „kinomanów“ i „kinomanki“, którzy zarzucają redakcję pism filmowych pytaniami, dotyczącymi życia i kariery swych ulubionych aktorek i aktorów. Zaspokojenie tego rodzaju ciekawości czytelników jest podstawą pracy p. Micinkiewicza, który 1/3 swej książki poświęcił biografjom „ludzi ekranu“. Życiorysy te, przeplatane anegdotkami, pisane są w sposób żywy i bezpretensjonalny (aż do... niedbalstwa językowego włącznie); poprzedza je krótka historia rozwoju kina.

Autor nie stawia sobie trudnych zadań: chodzi mu tylko o zaznajomienie szerokiej publiczności z t. zw. kulisami ekranu i o powierzchowne skreślenie sylwetek ludzi filmu. Cel ten udało mu się osiągnąć! Żałować tylko należy, że wśród polskich gwiazd zapomniiał zupełnie o Jadwidze Smosarskiej, o której zasługi dla niemej sztuki można się sprzeczać, ale która właśnie tej warstwie widzów, dla jakiej książka p. Micinkiewicza jest niewątpliwie przeznaczona — dała napewno więcej rzetelnych wzruszeń, niż naprz. Mary Duman lub Alice White, których popularność do nas jeszcze nie dotarła.

Wogóle bogactwo amerykańskiego przemysłu filmowego widocznie tak olśniło samego autora, że zapomniiał zupełnie o Europie. Sądząc ze spisu „gwiazd“, które p. Micinkiewicz uznał za godne życiorysu, można by przypuszczać, że Europa nie posiada ani jednego utalentowanego aktora filmowego, lub aktorki, pomimo to, że pierwszą „gwiazdą“ wogóle, w dzisiejszym znaczeniu tego słowa, była właśnie europejka — Asta Nielsen, której choćby z tej racji należały się jakieś względy. Wielbicieli i wielbicielek Iwana Petrowitscha, Willy Fritsche, Lil Dagover, M. Chevaliera, E. Janningsa, Conrada Veidta, Elzbiety Bergner, Brygidy Helm i t. d. będą napewno rozczarowani, nie znajdując o nich w „Tajemnicach ekranu“ nawet kilku wierszy.

Książka wydana starannie, lecz, jak na wydawnictwo popularne, którym jest w formie i treści — za droga.

St. H.



## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### KOBIETY ŻĄDAJĄ ZNIESIENIA ZAKAZU PRACY NOCNEJ.

Propaganda „Rady otwartych drzwi“, o której postulatach pisaliśmy niedawno w „Bluszczu“, zaczyna wywierać wpływ na ustawodawstwo ochrony pracy. Na ostatnie posiedzenie Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie wpłynął wniosek rządu angielskiego, o rewizję ustawy o pracy nocnej kobiet. Postanowiono, dwunastu głosami przeciw dziesięciu, poddać ustawę rewizji. Biuro zwróci się do rządów wszystkich krajów, które podpisały ustawę, o praktyczne wyniki jej zastosowania. Zniesienie zakazu pracy nocnej dla kobiet, jest jednym z „najłagodniejszych“ postulatów „Rady otwartych drzwi“, żądającej wogóle zniesienia ochrony pracy kobiet, jest jednakże jednym z najracjonalniejszych. Dobrze płatna praca nocna nie wyczerpie napewno kobiety więcej, niż głodowy zarobek dzienny. Przytem niezrozumiałe jest, dlaczego zajęcia fizyczne w nocy miałyby być szkodliwsze, niż umysłowe, któremu oddaje się tyle kobiet: dziennikarek, studentek, pielęgniarek, wogóle niemal większość pracownic umysłowych.

### STULETNIĄ.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Anglii niezwykle jubileusz setnej rocznicy urodzin najstarszej dziś w świecie lekarki. Jest nią dr. Harriet Clisby, urodzona w 1850 r. Dr. Clisby uzyskała dyplom doktora medycyny w Ameryce, w 1865 r., pomimo gorących sprzeciwów ogółu profesorów lekarzy i kolegów studentów, za osobnym pozwoleniem Senatu akademickiego, w którym znalazło się jakoś kilku bardziej postępowych członków.

Dr. Clisby jest staruszką zdrowiuteńką, uprawiającą codziennie gimnastykę i zapaloną do wszelkich nowości, sportów i nadzwyczajnych przedsięwzięć. Interesuje się też żywo lotnictwem. Na zapytanie jednego z obecnych na jej jubileuszu dziennikarzy, jakie cechy posiadać, jej zdaniem, powinna kobieta lekarka, dr. Clisby odpowiedziała: dobroć, zdrowy rozsądek i uprzejmość. Te cechy posiada większość kobiet i dlatego mamy takie miłe i dobre lekarki.

### NAJMŁODSZE, A NAJDZIELNIEJSZE W SPORCIE.

Na Międzynarodową Olimpiadę kobiecą w Pradze pierwsze przybyły japonki, których grupa, z rekordzistką Hitomi na czele, była serdecznie i owacyjnie witana na dworcu.



*Japonki na Olimpiadzie.*



Pani sędzia dr. Spitzer.

#### W NIEMCZECH SADZA.

W Niemczech kobiety zajmują już od kilku lat stanowiska sędziów. Świeżo sędzią, pani dr. Spitzer przewodniczyła rozprawie karnej w trybunale Moabickim w Berlinie.

#### KURS DLA PIELEŃNIAREK SPOŁECZNYCH.

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej otwiera w Warszawie w dniu 17 listopada r. b. przy klinice chorób dziecięcych Uniwersytetu Warszawskiego czwarty kurs roczny dla pielęgniarek społecznych w stacjach opieki nad matką i dzieckiem, oraz w żłobkach. Kurs trwać będzie rok z miesięczną przerwą wakacyjną, nauka na kursach będzie bezpłatna.

Warunki przyjęcia przewidują minimalny cenzus naukowy — 6 klas szkoły średniej, oraz zdolność fizyczną do pracy w roli pielęgniarki społecznej, stwierdzoną świadectwem lekarskim.

Pierwszeństwo do przyjęcia będą miały kandydatki, posiadające wyższy cenzus naukowy, oraz te, które będą mogły wykazać się pracą w stacji opieki nad matką i dzieckiem lub w żłobku, względnie pracą społeczną w jakiegokolwiek innej dziedzinie.

Ilość słuchaczek ograniczono do 50-ciu osób, wiek od 18 — 50 lat. Czterdzieści słuchaczek otrzyma stypendja po 100 zł. miesięcznie. Po ukończeniu kursu, stypendystki obowiązane są do trzyletniej pracy za zwykłym wynagrodzeniem, w instytucjach społecznych. Podania składać należy w urzędach wojewódzkich. Pierwszeństwo mieć będą kandydatki z tych województw, w których przewidywane jest w bliskiej przyszłości otwarcie żłobków oraz stacji opieki nad matką i dzieckiem.

#### PIERWSZE KROKI NA DRODZE RÓWNOUPRAWNIENIA W JAPONJI.

Przed tysiącami lat Konfucjusz powiedział, że „jedno ciało nie może mieć dwóch głów“, z tego powodu japonki pozostają do dziś w zależności od męża. On to, jako „głowa“ jedyna rodziny, decyduje o żonie. Kobieta zamężna nie posiada żadnych praw cywilnych i nie może zarządzać swoim majątkiem. Córki nie dziedziczą po ojcu, synowie zaś, w równej mierze z córkami, dziedziczą po matce. Niema też żadnej instancji, w której byłyby sądzone spory i sprawy małżonków między sobą. Zdrada małżeńska uważana jest za zbrodnię, ale tylko... dla kobiety. Cały kompleks tych praw, opartych na dawnym ustawodawstwie chińskim, odstaje niesłychanie od życia. Kobiety japońskie ogarnęły wszystkie pola pracy, jakie tylko są im dostępne (do adwokatury np. nie są dopuszczone), położyły nieśpożyte zasługi w dziedzinie nauczania, całe, w przeciągu krótkiego czasu wspaniale postawione szkolnictwo jest w większości ich zasługą, a opinia i coraz bardziej europeizujące się obyczaje nie stosują się już do starych ustaw. Świeżo, japonki otrzymały prawo wyborcze do samorządów, ograniczone cenzusem wieku (powyżej 35 lat). Nowe to prawo musi pociągnąć za sobą zniesienie dotychczasowych ograniczeń. Oryginalny jest fakt, że izba wyższa parlamentu japońskiego jest usposobiona życzliwie dla równouprawnienia, izba poselska wprost przeciwnie!

#### Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Jedenaste zgromadzenie Ligi Narodów rozpoczęło się w Genewie w pierwszych dniach b. m.

Sytuacja polityczna tegoroczna nie jest zbyt jasna, głównie dzięki stanowisku Niemiec, ale znów nietylko wyłącznie z ich powodu. Tak się jakoś wszystko pokręciło, jakby wielu ludzi zapomniało wzniosłych haseł i... uczciwych obowiązków. Wszystkie państwa, zainteresowane w konferencji rozbrojeniowej morskiej w Londynie, postąpiły tak, jakby właściwie nie wiedziały, poco przysłały delegatów na tę konferencję. Wynikło z niej... nic, a olbrzymy, najeżone armatami stoją nadal na wszystkich wodach i, o ile tylko będą pieniądze, dobuduje się jeszcze parę nowych.

Turecy gnębią kurdów, Anglicy tłumią ruch ghandystów, a Niemcy, no, o tych wiemy, jak „pokojowo“ występowali w ostatnich czasach. Położenie ekonomiczne jest wszędzie nie różowe, a państwa, zamiast szukać nań lekarstwa na drodze międzynarodowego porozumienia i ekonomicznej solidarności, podwyższają cła.

W dodatku sama Liga uważała, iż jest poważnie zagrożona projektem paneuropejskiej unji Brianda. Na projekt ten 27 państw odpowiedziało dyplomatycznie. Co to znaczy, może dać przykład znana anegdotka o dyplomacie: gdy dyplomata mówi tak, wtedy może być tak, lub nie, gdy mówi może być, znaczy to, że... nic z tego być nie może, bo *nie* dyplomata wogóle nie mówi. Otóż dyplomaci 27 państw odpowiedzieli... może być! Pomimo tego jednak, trzeba było ten projekt paneuropy jakoś zorganizować. Tej właśnie organizacji Liga Narodów obawiała się, wtedy bowiem punkt ciężkości porozumień międzynarodowych przesunąłby się z Ligi do nowej Unji Paneuropejskiej, która stałaby się odrębną instytucją.

Obawy te, gnębiące bardzo członków Ligi, którzy pragną w niej widzieć ośrodek stosunków międzynarodowych i wierzą, że Liga naprawdę mocną jest wpływać na te stosunki, zostały zażegnane. Unja paneuropejska nie będzie samodzielną radą, czy ligą, lecz przekazaną została „do załatwienia“ Lidze Narodów. Teraz oczekują wszyscy, czy też Niemcy wytoczą przed Ligą swoje pretensje à la Treviranus. Zdaje się jednak, że nie. Będą woleli, jak to zapowiadają głośno i powszechnie, prowadzić wewnętrzną agitację poza Ligą i starać się o przyjaźń Angli i Włoch przeciwko Francji, no i... Polsce.

## KULTURA ESTETYCZNA I SPOŁECZEŃSTWO W AMERYCE

Kwestja stosunku społeczeństwa do sztuki we wszystkich krajach pozostawia wiele do życzenia i rozmaicie wpływa na rozwój samej sztuki i związanych z nią zagadnień.

Ciekawie przedstawiają się w Ameryce pewne punkty tego zagadnienia, rzucając jednocześnie charakterystyczne światło na psychikę amerykańską.

Jedną z zasadniczych cech amerykan, tajemnicą ich potęgi i wielkości — jest energja i inicjatywa. Bierność, która u nas paraliżuje i niweczy tysiące poczynań — jest dla nich niepojęta. Na wszelkie fakty reagują czynem, każde niedomaganie chcą usunąć w sposób najszybszy, najpraktyczniejszy, najbardziej celowy.

Ponieważ poziom kultury estetycznej jest u nich niezmiernie niski, co jest tembardziej zrozumiałe, że niema tam tradycji własnej starej sztuki, ani sztuki ludowej — walczą, by go podnieść, walczą w sposób najbardziej bezpośredni.

W życiu praktycznym kultura estetyczna lub jej brak, jeśli idzie o sztuki plastyczne, przejawia się przede wszystkim w dwóch dziedzinach: w stroju i w mieszkaniu.

Podnieść poziom kultury estetycznej, wprowadzić estetykę do życia codziennego — znaczy przede wszystkim, by w tych dwóch dziedzinach nauczyć ludzi patrzeć, widzieć i odczuwać piękno.

W tym więc kierunku skierowana jest cała działalność.

Na uniwersytetach są wydziały estetyki praktycznej. Profesor wyklada teorię estetyki, zasady harmonji linii i barw i przechodzi do ćwiczeń z dziedziny życia praktycznego. Na wszelkich kursach doszkalaćcych, we wszelkich stowarzyszeniach kulturalnych prowadzona jest estetyka praktyczna.

Ćwiczenia na tych kursach są najkonkretniej, najrealniej związane z życiem codziennym i są do tego życia dostosowane.

Jeśli idzie o urządzenie wnętrza, rozważa się zagadnienia i zasady ustawiania mebli różnego rodzaju i różnych przeznaczeń, omawia się sposób wieszania obrazów, zestawiania barw, deseni, kombinowania i łączenia takich, czy innych zdobień.

Obok tego odbywają się wycieczki do wzorowo urządzonych mieszkań, gdzie przedyskutować można właściwość danego rozwiązania i możliwość innych zestawień.

To samo dotyczy ubrania.

Opowiadała mi znajoma amerykanka, lektorka takich kursów, że na jeden z wykładów kazała dziewczętom przynieść walizki ze swą garderobą. Dziewczęta ubierały się kolejno, i — na zasadzie poprzednich studjów, następowała głośna krytyka: dlaczego linje danej sukni nie są odpowiednie dla danej osoby, dlaczego dopełnienia kłóć się z całością w linii lub barwie; wreszcie kombinowano zestawienia z różnych walizek, by dojść do najbardziej harmonijnych połączeń.

Wyobrazić sobie można, ile takie wykłady przynieść mogą korzyści, jak inaczej dziewczyna, która je

przejdzie, urządzać będzie swoje własne mieszkanie. Bo od stopnia poczucia estetycznego jedynie zależy, czy, przy tych samych wydatkach, stworzymy wnętrze, krzyczące pretensjonalnością, brzydotą i bezładem barw i form, czy też, w najskromniejszych nawet warunkach, damy całość estetyczną, o harmonijnem zestawieniu kolorów i planowem ułożeniu poszczególnych elementów.

A teraz inna konsekwencja tej samej sprawy.

Ludzie, którzy mają dużo smaku i estetycznego wyrobienia, potrafili umiejętność tę w specjalny sposób wykorzystać: gdy z jednej strony jest wiele osób nawet zamożnych, czy takich, które nagle stały się zamożne, i nie mając gustu ani żadnego kryterjum, nie umieją sami urządzić swego domu, a chcą jednakże, by dom ich odpowiadał wymaganiom dobrego smaku, to z drugiej strony są ci, którzy z urzędzenia wnętrza zrobili swój zawód i nie tylko służą wszelkimi wskazówkami, lecz częstokroć biorą na siebie kompletne zestawienie całości, zużytkowując częściowo to, co jest, czy też, zakupując wszystko na nowo<sup>1)</sup>.

Czy te usiłowania zbliżenia sztuki do życia codziennego nie zasługują na uwagę i na zastanowienie?

Czy przy niskim poziomie naszej kultury estetycznej, nie byłoby wskazane, żeby do pewnego stopnia iść pod tym względem w ślady Ameryki?

Czy nie udałoby się tą drogą zmniejszyć przerażającej ilości rozpaczliwie brzydkich pomieszczeń?

Czy nie udałoby się podtrzymać przeróżnych, tak ładnie często rozpoczętych wytwórni, które z braku zrozumienia, giną po króciutkim życiu?

Czy nie zmniejszyłoby to wyrobu przeróżnych obrzydliwości, przemycanych pod płaszczykiem przemysłu artystycznego dla naiwnej i nieświadomionej publiczności?

Warto nad tem pomyśleć.

Marja Werten.

<sup>1)</sup> Na kursach rysunkowych w Zakopanem, które prowadziłam zeszłego lata dla amerykanek, miałam jedną słuchaczkę tej specjalności. Nie będąc twórczą artystką, była ona typem uświadomionego odbiorcy rzeczy pięknych, orjentując się przedko i dobrze w wartości estetycznej nabywanych przedmiotów.

## NOWOCZESNY WAZON NA KWIATY I JEGO WALORY DEKORACYJNE

Mówiliśmy już o czarkach i wazonikach z metalu, które można prawie wszędzie z powodzeniem zastosować, podobnie, jak majolikę (rys. 9). Mamy jej poddostatkiem w kraju, a jej poziom artystyczny nie ustępuje wielu wyrobom zagranicy.

Wazon taki służyć może również, jako podstawa do lampy z abażurem; użytek więc wszechstronny, a cena bardzo dostępna.

Jeżeli chodzi o wazon, tworzący efektowną plamę kolorową, to obok porcelany, kryształu i szkła barwionego, majolika jest bez konkurencji, szczególnie ze względu na głębię tonów i piękne refleksy światła. Takie refleksy w zakresie skromniejszym daje także zwykła ceramika (garnki polewane, polewany wazon z Szuwska w kształcie amfory greckiej — na rys. 10).



Rys. 8. Miedziana czara z ornamentem trawionym.  
(pracownia Terleckiego w Krakowie)

Wśród licznego wyboru wazonów porcelanowych znajdziemy zarówno rzeczy najzwyczajsze jak i cenne dzieła sztuki. Do tych należą wazy wschodnie, chińskie i japońskie, sewrskie, starowiedeńskie, koreckie, Delft, Kopenhaga i wiele innych, zarówno dawne, jak współczesne.

Wazon taki sam przez się stanowi klejnot umeblowania, zwłaszcza, gdy umieścimy w nim kwiaty, odpowiednie do jego stylu. Wówczas zakątek mieszkania, gdzie umieszczono ową wazę, staje się jakby piękną „martwą naturą”, ułożoną przez malarza, i sprawia subtelne wrażenie estetyczne. Ale musimy pamiętać, że jeśli chodzi o stwarzanie wnętrza domu, wyszliśmy już daleko poza kolekcjonowanie, i że niewolno nadużywać efektów stylowej martwej natury, pod grozą zabicia oryginalności i swobody.

Smak nowoczesny nadewszystko ceni swobodę. W jej to imię, stawiając piękny Delft czy wazon chiński na gładkim stole wśród umeblowania o szerokich, polerowanych powierzchniach, osiągamy dodatnie wrażenie kontrastu. W imię swobody pozwalamy kilku zaledwie kwiatom niejako pływać wśród szerokiej patery kryształowej, by układ taki dodał wdzięku i dużym kwiatom, i ciężkiemu kryształowi.

Są jednak dysonanse, które nawet przy największej tolerancji nie wypadną szczęśliwie, szczególnie, jeśli zachodzi rozdzźwięk między kwiatami, a stylem wazonu. Klasycznym przykładem — nie do zniesienia dla oka — niech będą egzotyczne storczyki w ludowym garnku glinianym, albo słonecznik w sewrskim wazoniku z XVIII wieku.

I naodwrot: kwiaty polne i jaskrawe kwiaty o

nieskomplikowanych kształtach — słoneczniki, malwy, niektóre dalje, maki olbrzymie itp. — znajdują się na właściwym miejscu w garnku glinianym. Jak soczystą staje się np. żółta knieć błotna w brązowej glinie polewanej, jak błękitnie odbijają od niej niezapominajki! Proste kwiatki w garnku odnajdują swój własny styl.

Podobnie rzecz się ma z kwiatami „stylowymi”. Urok japońskiej wazy podniosą włożone w nią ukwiecone gałązki jabłoni krzewu migdałowego o puszystym, różowym kwieciu, lub żółtej akacji, tak stylowo „placzącej”. Inne typowo chińskie kwiaty — to goździki, astry pierzaste i chryzantemy, obrzan, maki, ostróżki, piwonje itp. Róże i goździki równie pięknie odbijają od nowoczesnych kryształów, jak od stylowych waz francuskich czy holenderskich. Szklana waza z emalją szafirową i złotem (rys. 11) jest prześliznięciem pomieszczeniem dla różnobarwnych groszków pachnących, lewkonij lub astrów. Białe piwonje ogrodowe, narcyzy albo róże szlachetnie harmonizują z alabastrem żurawnieńskim, równie jak one matowym. Śnieżyczki lub konwalje w metalowej czarce, jak na rys. 8 ślicznym kontrastem pociągają oko. Kryształ, Kopenhaga, czy wenecki wazonik, podkreślają subtelność fiołków.

Tak bez końca możnaby wyliczać przykłady harmonji kwiatów z wazonem. Gdy ją ustaliliśmy, pozostaje nam tylko estetycznie umieścić wazon w przestrzeni pokoju. I tu znów panuje swoboda. Na stole, biurku, półce czy stoliczku, pośrodku czy u samej krawędzi — w pełni światła na szerokim oknie nowoczesnym, czy też w cieniu koło ściany — wszystko, co niewymuszone, jest dobre. Wielki wazon znajdzie piękne umieszczenie na podłodze, byle mu zapewnić perspektywę i harmonję stosunków wielkości z pokojem i meblami, gdyż, jako zasadę, przyjąć



9.

10.

Rys. 9. Wazon majolikowy o modnym ornamentcie.  
(Henry à la Pensée — Paryż).

Rys. 10. Polewany wazon z Szuska w kształcie zbliżonym do amfory greckiej.





Rys. 11. Patera kryształowa z emalją niebieską i szafirową podkładana złotem.

trzeba, że wszelkie większe wazony i dekoracyjne kwiaty wymagają pewnego odosobnienia i perspektywy, żeby zrobić właściwy efekt. Małe czarki i wazoniki umieszczamy bliżej oka, uważając, by nie nagromadzić ich zbyt wiele w polu widzenia. Smak nowoczesny potępia zbyt wiele zastawianie mebli drobiazgam i stłoczenie niecelowych szczegółów.

Najwłaściwsze wrażenie estetyczne wywiera wśród tła jakiś jeden wybrany przedmiot, widoczny i prawdziwym pięknem ożywiający całość. Może nim być posążek, artystyczna fotografia w odpowiedniej ramce, zegar, okazała roślina doniczkowa — lecz najczęściej walorów ma piękny wazon z kwiatami. Wy-  
zyskajmy te walory dla estetyki naszego domu.

Helena Wolska

## HODOWLA ZWIERZĄT FUTERKOWYCH, JAKO ZAWÓD KOBIECY

Cyfra 48 milionów, wydawanych rocznie na tkaniny jedwabne, sprowadzane z zagranicy, tak przeraża naszego doradcę finansowego, że rzucił on hasło, aby ubierać się tylko w krajowe perkaliki. Kobiety, tak zawsze ofiarne, gdy przemówią do nich w imię uczuć patriotycznych, podjęły hasło samowystarczalności, oraz jaknajdalej idącej oszczędności — ubrały się w perkaliki.

Obok cyfry 49 milionów za jedwabie figuruje druga, znacznie poważniejsza, bo 200 milionów, wydawanych na futra.

Drukowany perkalik nie będzie w stanie na dłuższą metę obronić, zwycięskim bojem zajętej pozycji, choćby dlatego, że klimat nasz na to nie pozwala.

Spełnił jednak swą rolę, gdyż dzięki właśnie temu, spopularyzowała się wśród społeczeństwa idea naszego jedwabnictwa, co w przyszłości musi się odbić dodatnio na naszej gospodarce.

Z futrami sprawa przedstawia się podobnie: zatrważająca cyfra 200 milionów złotych powinna stać się bodźcem, który pchnie rzutki jednostki do torowania szlaku tej nowej u nas gałęzi produkcji.

Tutaj nie można powiedzieć: „nie noście futer, bo to zagraniczne”. Ale tak, jak przy perkalikach propagowało się ideę krajowej hodowli jedwabnika, tak i tutaj trzeba nawoływać do zbiorowego wysiłku w celu tworzenia ferm, hodujących zwierzątka futerkowe. Futra w naszym kraju będziemy musieli nosić zawsze, gdyż zima nie pyta o nasz bilans handlowy, tylko siecze śniegiem i dmie mroźnym wiatrem.

Jeśli jednak zostało udowodnione, że możemy doskonale hodować u nas jedwabniki, które obcego są pochodzenia, to czemuśmy nie mieli hodować zwierząt, przepelniających ongiś nasze puszcze.

Amerykani pierwsi uprzytomnili sobie, że wraz z wtargnięciem ludzi we wszystkie zakątki ziemi zmniejsza się w bardzo szybkim tempie ilość zwierząt, potrzebnych człowiekowi na futra. Patrząc praktycznie na życie, zrozumieli korzyści, jakie może im przynieść zaopiekowanie się poszczególnymi gatunkami, co też odrazu uczynili, i stąd powstały pierwsze fermy hodowlane.

Rezultaty okazały się wspaniałe: zwierzęta przystosowały się do niewoli, otoczone zaś staraniem człowieka wykazują nawet znacznie większą płodność, niż na wolności, przynosząc tem samem swoim opiekunom duże zyski materialne.

W Ameryce istnieje np. bardzo dużo ferm lisów srebrzystych, które oparte są o potężny związek, broniący ich interesów.

Zachodnia i północna Europa, widząc owoce pracy amerykańskiej, poszła w ich ślady i rażno wzięła się do zapoczątkowania hodowli zwierząt futerkowych.

Norwegia np., która posiada doskonałe warunki dla chowu bobrów, postawiła tę hodowlę u siebie tak wysoko, że dziś może eksportować duże ilości materiału zarodkowego. W Niemczech i Francji fermy hodowlane zwierząt na futra rozwijają się także bardzo pomyślnie.

Praktyczni czesi prędko zrozumieli korzyści, jakie kraj ich może osiągnąć z tej produkcji; dziś mogą się poszczycić szeregiem wzorowo prowadzonych ferm, oraz uświadomieniem ogółu, czem dla nich stać się może pomyślne rozwinięcie tej gałęzi.

U nas również dość dużo zrobili w tym kierunku ludzie dobrej woli.

Ferm, hodujących zwierzęta futerkowe jest jeszcze niewiele, ale już są i rozwijają się bardzo dobrze.

Od 2 lat mamy w Warszawie „Związek hodowców dzikich zwierzątek futerkowych”. Związek ten organizuje kursy hodowli, prowadzi propagandę, wydaje broszurki ze wskazówkami, jak się zabrać do założenia wzorowych ferm, wreszcie ułatwia nabywanie materiału rozplodowego.

Klimat w Polsce, dzięki dużym różnicom położenia poszczególnych pól kraju, pozwala na hodowanie wielkiej różnorodności gatunków zwierzątek futerkowych.

Bardzo ważną bowiem rzeczą jest danie zwierzętom w niewoli możliwie najbardziej zbliżonych warunków do tych, jakie miały na wolności.

Okolice góryste, o ostrzejszym klimacie najlepiej nadają się do hodowli lisów. Nad brzegiem jezior i rzek jest dobre miejsce do założenia fermy dla bobrów. Tam, gdzie łatwo o ryby, a zbyt utrudniony, świetne są warunki powodzenia dla hodowli wydr.

Hodowlę zwierzątek wyłącznie mięsożernych należy połączyć z hodowlą królików na futra, a mięsem ich karmić hodowane lisy, czy kuny.

Mówiąc o zwierzętach futerkowych, nie sposób nie wspomnieć o niesłusznie u nas pogardzanym króliku.

Trzy czwarte futer, które widzimy, to nic innego, tylko skromny kłapouch, odpowiednio ucharakteryzowany na fokę, czy gronostaja.

Istnieje u nas dziwne uprzedzenie do mięsa królicznego. Gdyby je przewalczono, można by w znacznym stopniu zmniejszyć zło, wynikające z niedożywienia szerokich mas.

Na hodowlę królików zapatrują się u nas ludzie więcej, niż sceptycznie. Moim zdaniem, częstym powodem niepowodzenia hodowli królików jest to, że brali się do tego ludzie, mający dużo zamiłowania, ale mało fachowych wiadomości.

A na świecie wszystko, co się ma robić, trzeba umieć, aby mogło dać pożądane rezultaty.

Hodowla zwierząt futerkowych, to placówka, którą powinna ująć w swe ręce wyłącznie kobieta. Jest to placówka zupełnie nowa, gdyż ilość istniejących ferm jest tak znikoma w stosunku do tego, ile ich potrzeba, że brać tego pod uwagę prawie nie można. Nie potrzebuje więc kobieta, ku oburzeniu mężczyzny, wdziierać im pracy, bo stwarza coś nowego.

Rentowność takiej fermy, jest bardzo duża. Zostawia czas na dom i dzieci i, co jest może najważniejsze, daje pełną niezależność.

Przy wyborze fachu większa, czy mniejsza zależność od zwierzchnictwa powinna poważnie ważyć na szali wyboru.

W Niemczech, gdzie hodowla zwierząt futerkowych doskonale się rozwija, prawie wyłącznie kobieta zawładnęła tą dziedziną.

Wiele tegorocznych maturzystek pójdzie utartym szlakiem szkolenia się na urzędniczkę biurową, powiększając przeludnienie, jakie w tym zawodzie istnieje, marnując siły i zdolności na 150-złotowej posadzie i pomnażając proletarijat inteligencki. Czy nie dobrze byłoby, aby dziewczęta, w ten, czy inny sposób związane ze wsią i posiadające to, co się nazywa „zmysł hodowlany“, wyspecjalizowały się w hodowli jakiegoś zwierzątka, zakładając następnie fermę hodowlaną.

Gdyby wśród kobiet było więcej jednostek, szukających nowych dróg, to nasz bilans handlowy całkiem inaczej wyglądałby.

Dzień, w którym zagraniczna bawełna ustąpi krajowemu jedwabowi, będzie dniem triumfu kobiety. Jeśli rażno weźmiemy się do stwarzania ferm zwierząt futerkowych, zmniejszając przez to cyfrę złotych, wydawanych na kupno futer zagranicznych i nam Polska zawdzięczać będzie cegielkę w budowie trwałych podstaw dla państwa.

Marzenna Saryusz-Stokorska.

## JAK PIELEGNOWAĆ PALMY W MIESZKANIU

Nieraz widzi się w mieszkaniach palmy o żółtych liściach, chore; kwiaty takie, zamiast zdobić wewnątrz, szpecą je. Można by więc przypuszczać, że roślina ta do swego rozwoju wymaga warunków wyjątkowych, których my w pokoju dać jej nie możemy. Jest to jednak mylne mniemanie.

Palma rosnąć może niemal w każdym mieszkaniu; jeśli będziemy o nią dostatecznie dbali i pamiętali o jej wymaganiach, odwdzięczy się nam bujnym wzrostem i piękną zielonością liści.

Rośliny, przeniesione z kwaciarni w odmienne warunki, muszą tę zmianę, oczywiście, przechorować. Tembardziej więc należy im dać dobrą opiekę i ułatwić okres przyzwyczajania się do nowych warunków. Nie jest to wcale trudne.

Gdy zabieramy się do hodowli palmy, zasadniczym przykazaniem powinno być: odpowiednie światło, umiarkowane podlewanie i czyste utrzymanie rośliny. Światło, obok podlewania, odgrywa główną rolę. Palmę należy stawiać blisko okna, aby miała pełnię światła, jednak trzeba ochraniać od palących promieni słońca, gdyż liście dostają żółtych plam, wreszcie schną i zwijają się. Pożądanym jest bardzo słońce, przesiane przez firankę, lub przez liście jakiejś innej rośliny.

Druga rzecz trudna — to podlewanie. Widzi się często palmy żółtkłe, lub o krótkim liściu, co jest właśnie wynikiem niewłaściwego podlewania. Daje się zbyt dużo, lub zbyt mało wody. Palma, zbyt obficie podlewana, nie może zużytkować wody i zaczyna chorować, wypuszcza krótkie, brzydkie liście, aż wreszcie gnije. Podlewać powinniśmy tylko tyle, aby palma miała wilgotno i nigdy nie nalewać na podstawkę, jak to się często robi. Raczej mniej wody, niż za dużo! Woda powinna mieć temperaturę pokojową: od chłodniejszej roślina cierpi.

W szklarniach, gdzie palma dotąd przebywała, miała powietrze ciepłe i parne, czego w mieszkaniach dać nie możemy. To też codziennie, lub przynajmniej parę razy na tydzień, należy skrapiać, lub zmywać liście palmy. Zastąpi to choć w części wilgoć w powietrzu i nie dopuści do zbierania się kurzu na liściach, który nie pozwala roślinie swobodnie oddychać.

Temperaturę należy utrzymywać możliwie jednakową, w zimie dość niską — dla większości palm pożądane jest 8—12°C. Przy otwieraniu okien w zimie musimy pamiętać o zabezpieczeniu palmy przed mrozem, lub choćby tylko zimnem powietrzem. Liście palm przemarzniętych nabierają koloru ciemnego i lekko przezroczystego.

Drugie niebezpieczeństwo — to stawianie palm przy piecach. Szkodzi to im zwłaszcza, gdy są suche. Roślina gwałtownie wyparowuje z siebie wodę, na skutek czego liście schną i zwijają się.

Palmy przesadzamy na wiosnę (maj, czerwiec). Ponieważ przy tej czynności łatwo uszkodzić korzenie, lepiej jest powierzyć ją ogrodnikowi. Przesadzając ją w domu u siebie, musimy się zabrać do tego z całą ostrożnością. Oglądamy bryłę korzeniową, czarne, zginęłe korzenie usuwamy ostrym nożem. Doniczki bierzemy nie za duże, a możliwie wysokie, szczególnie dla Phoenixów. Roślina w zbyt dużej doniczce



nie może wykorzystać pożywienia, wskutek czego ziemia kwaśnieje i roślina choruje.

Ziemię dajemy pożywną, przygotowaną specjalnie u ogrodnika. Dobrze jest dodać do niej trochę mączki rogowej (kupuje się w składach ogrodniczych), tylko nie za dużo! Po przesadzeniu palmy należy ziemię w doniczce mocno ucisnąć. Jeśli w niedostatecznej wysokiej doniczce korzenie całkowicie się nie mieszczą, wówczas te, które wystają ponad doniczkę, okładamy mchem z gliną, aby nie schły i, podlewając, pamiętamy, aby mech był zawsze wilgotny. Po przesadzeniu podlewamy ostrożnie, zanim roślina się nie zakorzeni, inaczej może łatwo zgnieć.

Doskonałym nawozem dla palm w pokoju będzie podlewanie wodą w której było opłókanе surowe mięso wołowe. Stosować to można latem co 2 tygodnie.

Młodsze egzemplarze (mniej więcej do lat 6-ciu) przesadzamy co rok; starsze — co 2, 3 lata. Starszym palmom dobrze jest zdjąć co rok wierzchnią warstwę ziemi, zastępując ją świeżą.

W lecie można wystawić palmę na balkon, pamiętając o bardzo częstym skrapianiu, lub myciu liści, oraz o ochronie przed zbyt niem słońcem i silnym wiatrem.

Jeżeli kto rozporządza choć małym ogródkiem przed domem, może wynieść palmę na całe lato, oczywiście, gdy jest dostatecznie ciepło i minęła obawa rannych i nocnych przymrozków. Wybieramy miejsce w półcieniu, osłonięte od silnych wiatrów i dotujemy palmę, to znaczy, zakopujemy doniczkę po brzegi. Teraz zasilać możemy płynnym, rozwodnionym pół na pół, krowieńcem (co było w pokoju kłopotliwe), lecz nie przy silnym słońcu, pod wieczór, co 2 — 3 tygodnie.

Jeszcze słów parę o szkodnikach, od których cierpią palmy. Najpospolitszym i najczęściej spotykanym jest *mszyca tarczykowa* — owad, wyglądający jak mała skorupka woskowa; gromadzi się najwięcej na odwrotnej stronie liścia. Zwalczać tarczki najlepiej mechanicznie, zeskrobując je z liści ostrożnie patyczkiem. Przy wielkiej jednak ich ilości, zmywać małą szczoteczką, umaczaną w roztworze mydła szarego, wody i siarki (na 10 litrów wody 20 dk. mydła szarego i szczypta siarki). Należy jednak potem spłókać liście i łodygę czystą wodą, gdyż mydło roślinie szkodzi.

*Thrips* — mszyce zielone i czarne — na młodzieńskich palmach niszczyć należy najlepiej tem samym szarem mydłem, lub wyciągiem kwasji (10 litr. wody gotuje się z 20 dk. kwasji). Można też sprycować mszycobójczym Herbasolem.

Żółte plamy na liściach spowodowane są *czernym pajęczkiem*, żerującym na ich spodzie i tam składającym swe jajeczka. Pajęczek powinien zginąć jeśli wilgotne liście palmy od spodu obsypie się kwiatem siarczanym i pozostawi je tak około 2 tyg.

Są to najpospolitsze pasożyty i choroby palm oraz najprostsze środki do ich zwalczania.

Odmiany palm, odpowiednio do hodowli pokojowej i najmniej wymagające, są: *Chamaerops excelsa*, *Corypha* (ta jednak łatwo ulega tarczkom), *Phoenix*: wykwintny, zbliżony wyglądem do *Cocosu* — *Phoenix-Roebellini*, *phoenix dactylifera*. *Kentia*, najbardziej spotykana, piękna palma, jest trochę wybredniejsza. *Latanie* są trudne do hodowli. *Cocosy*, najpiękniejsze i najdelikatniejsze z palm, są najbardziej wrażliwe, zwłaszcza na zmiany temperatury: i sprawiają dużo kłopotu swemu hodowcy.

Marja Kulwieciówna.

## ZAPASY ZIMOWE

Pracowita, zapobiegliwa jesień, to podstawa dobrobytu domowego. Kto doceni tę „erę dosytu“ i będzie umiał wykorzystać bogactwa lasów, ogrodów warzywnych i owocowych sadów, gromadząc obfity plon w ścianach miejskich, czy wiejskich spiżarni i piwnic, ten nie zazna w zimie okrucieństwa podnoszących się z tygodnia na tydzień cen, lub podstawowych gospodarskich braków.

Jesień nakłada na osobę, stojącą u steru gospodarstwa, ciężar obowiązków i odpowiedzialność za normalny bieg długich miesięcy życia domowego. Składa się na to cały szereg zapobiegliwych i umiejętnych trosk dokoła zabezpieczenia domu i zaprowadzenia go ilościowo i jakościowo, tak, aby zapasy wystarczyły do chwili, kiedy, zbudzona ze snu zimowego ziemia zmieni się znów pod wpływem ciepła i słońca w róg obfitości.

Mówi się i pisze o tem, że gospodarstwo dzisiejsze, podporządkowane dewizie „czas to pieniądz“, obchodzi się coraz łatwiej i doskonalej bez przyrządzanych w domu przetworów owocowych, jarzynowych, kiszonek i marynat, znajdując je pod ręką, na każde zawołanie, w ilościach dowolnych i po cenach przystępnych. Jest to podobno jeden z systemów oszczędnościowych, to kupowanie w małych dawkach, które powstrzymują nas od nadmiaru zużycia. Jednakże zapasy zgromadzone planowo, przyrządzone umiejętnie, przechowane racjonalnie, zapasy, z których nic się nie zmarnuje, których nie będziemy spożytkowywały rozrzutnie, tylko dlatego, że ilość ich wydaje się narazie niewyczerpana, będą pomimo wszelkich nowoczesnych teoryj, podstawą dobrze zorganizowanego gospodarstwa, a w przeliczeniu (przy zachowaniu wyżej wymienionych warunków), dadzą poważną sumę oszczędności.

Dobra aprowizacja jest też niezawodnie jednym z czołowych warunków normalnej, w całym tego słowa znaczeniu, gospodarki.

Co składa się na zapasy, jakie powinny znajdować się w każdym „dobrze prowadzonym“ domu, niezależnie od skali jego uposażenia?

Opał: węgiel i drzewo; kartofle, warzywa i jarzyny, które dadzą się przechować czas dłuższy; owoce jesienne i zimowe; kiszonki, marynaty, konfitury, soki i konserwy owocowe, konserwy jarzynowe.

Aby trud i koszt, poniesiony przy zaprowadzaniu gospodarstwa, opłacił się, należy uwzględnić trzy zasadnicze punkty:

dobre kupno: wybór pierwszorzędного towaru i nabycie go po cenach korzystnych;

umiejętne przerobienie produktów nabytych;

umiejętne przechowanie i planowe zużycie.

Pierwszy punkt jest ściśle uzależniony od źródła i pory zakupu.

Opał należy gromadzić przed nastaniem jesiennych chłódów, nabywać go, o ile środki na to pozwalają, w ilościach hurtowych i tylko w pierwszorzędnych, znanych z sumiennosci firmach.

Kartofle, warzywa i jarzyny najlepiej nabywać z pierwszej ręki, zamawiając je w majątkach, położonych niedaleko miasta, jakie zamieszkujemy, i to zamawiając nie w ostatniej chwili, a wczesną jesienią, co zapewni nam dostawę skuteczną w porę i pierwszorzędny towar.

Owoce jesienne i zimowe, przeznaczone do prze-

chowania, powinno się również sprowadzać wprost z ogrodów, a jeżeli w grę wchodzi niewielkie ilości dostawy, których nie chciałby się podjąć sad handlowy, kupować u hurtowników, nigdy w składach detalicznych, tak ze względu na cenę, jak i jakość towaru. W jednym i drugim wypadku zamawiać wcześniej, zapewniając sobie w ten sposób odmiany wyborowe.

Owoce i jarzyny na przeroby kupować trzeba w stanie nienaganej świeżości, w okresie, kiedy jest ich na rynkach handlowych najwięcej, a przez to ceny ich są najkorzystniejsze.

Jakże często zasugerowane obfitością jakiejś odmiany owoców, grzybów, czy rydzów, dowożonych masowo do miasta, odkładamy nabycie ich z dnia na dzień, mówiąc sobie „jeszcze czas, jeszcze zdążę“, aż pewnego ranka zastajemy znikome ilości towaru i wygórowane ceny, które z konieczności zmniejszają do minimum projektowane zapasy.

Nie należy też nigdy odkładać przerobienia nabytych owoców, lub jarzyn do drugiego, lub trzeciego dnia. Zagrzone, pogniecione wymagają odrzucenia większej części przy przebieraniu, wypadają drogo, tracą siłę odporności i piękny wygląd, a kalkulacja takich przetworów zniechęca nas do dalszych prób samowystarczalności gospodarce.

Pierwszorzędną rolę gra też staranne, umiejętne przyrządzanie zapasów. Tylko bardzo doświadczona gospodyni, która indywidualność systemów opiera na długoletnim doświadczeniu, może pozwolić sobie na odchylenia od przyjętych norm.

Naogół wskazanym jest trzymanie się proporcji i wskazówek, zamieszczonych w specjalnych podręcznikach i wystrzeganie się niebezpiecznych wycieczek w krainę fantazji i źle zrozumianej, bo zgubnej w skutkach, oszczędności.

Dowolne zmniejszanie proporcji cukru, używanego przy smażeniu konfitur, soków, przyrządzaniu kompotów; używanie taniego octu, kupowanego na miarę w sklepikach; oszczędzanie czasu na podstawie przeświadczenia, że wskazania zawarte w odnośnych podręcznikach zakrawają na przesadę; niedocenywanie wskazań higienicznych to najpewniejsza droga do zgłębienia przysłowia „mądry polak po szkodzie“.

Wszelkie zapasy, jak: konfitury, soki, marynaty, kiszonki, konserwy muszą zatem być przygotowane z owoców i jarzyn odpowiednich pod względem wyboru; przygotowane umiejętnie, złożone w odpowiednie naczynia, a tem samem odseparowane od dopływu powietrza i przechowane w atmosferze, sprzyjającej dobrej konserwacji.

O sposobie smażenia konfitur, soków, marmelad, powideł, jamów, przyrządzaniu konserw owocowych i jarzynowych, marynat, kiszzonek mówić tutaj nie będę, nie chcąc wkraczać w granice królestwa Pani Elżbiety; natomiast chciałabym zwrócić uwagę Pań na konieczne zabiegi dokoła umiejętnego przechowania skarbów, które pod światłą jej dyrektywą zostaną zgromadzone.

Słoje, słoiki, butelki, garnki kamienne z konfiturami, sokami, marmeladami, powidłami, kompotami, borówkami i konserwami jarzynowymi muszą być przechowywane w odpowiedniej atmosferze i odpowiedniej temperaturze.

Precyzyjnie przygotowane, złożone w nienaganej czystości naczynia, zamknięte podług wszelkich prawideł higieny i doświadczenia nie ostoją się zniszczeniu, jeżeli spiżarnia, piwnica, czy szafa, w któ-

rych przechowywać je będziemy, nie odpowiadają wymaganiom warunkom. A warunkami temi są przede wszystkim: wzorowa czystość, brak zgubnej wilgoci i dopływ świeżego powietrza do ubikacji, w których przechowujemy cenne zapasy.

Aczkolwiek przechowywanie konfitur, soków, sterylizowanych owoców i jarzyn w naczyniach o większej pojemności przyczynia się do poważnego zaoszczędzenia miejsca, to jednak w praktyce okazuje się kłopotliwym i przyczynia się w poważnej mierze do szybszego zużycia. To też poza powidłami, borówkami i dobrze wysmażonymi, a przez to samo odpornymi na wpływ zewnętrzne, marmeladami, które składać można w duże kamienne garnki, lepiej jest przystosowywać wielkość słoików i butelek do ilości przetworu, jaką zużyjemy jedno, lub najwyżej dwurazowo.

Zawartość otwartego słoja, czy butelki jest już przez sam dopływ powietrza zagrożona i musi być stosunkowo prędko użyta, jest przytem sama przez się i pokusą zużycia nieprzewidzianego ułożonym z góry jadłospisem dnia, czy tygodnia. Łatwo zatem zorientować się, że napozór uciążliwsze i kosztowniejsze (tak pod względem ilości zużytych naczyń, jak i czasu przy napełnianiu i zamykaniu ich) przechowywanie przetworów w niewielkich naczyniach okazuje się w praktyce korzystnym.

Czerpiąc z dużego słoja, czy garnka, musimy używać łyżek czystych i suchych, a naczynie zamknąć starannie natychmiast po dokonaniu tej czynności, nie pozostawiając niedbale rzuconych na wierzch słoja papierów i błakających się na półkach sznurków, którymi były obwiązane. Powierzchnię zgarelutowanych borówek, gęstych powideł i marmelad wyrównać starannie, nie pozostawiać na brzegach naczynia i ściankach warstw, które zsuchają się i psują łatwo. Papiery powalane, naddarte zastąpić czystymi i całymi.

Nie trzymać nigdy razem z przetworami produktów o swoistym aromacie, a przede wszystkim serów w stanie rozkładu, które zakażą atmosferę i powodują, szczególnie w rozpoczętych słojach i butelkach, szybki rozkład konserw.

Konserwy (jarzyny i owoce sterylizowane) przegładać raz na tydzień, badając czy nie podpływają do góry i czy sok nie mętnieje. Zagrożone zużywać natychmiast.

Konfitury, jagody których podpływają, przesmażyć; tak samo postąpić z konfiturami, które zaczynają fermentować, co poznamy łatwo przez formowanie się na powierzchni konfitur, piany. Przesmażyć je z dodaniem cukru. Słoiki opróżnione wymyć w gorącej wodzie, kilkakrotnie wypłókać, wytrzeć starannie i złożyć w nie wystudzone konfitury. Tak samo postępować z sokami, zdradzającymi tendencję fermentacyjną. Przesmażając, dodać benzoesu w pastylkach (pastylka na 1 kg. konfitur).

Konfitury scukrzone rozgrzać na kilka, lub kilkanaście godzin przed podaniem i wystudzić: należy jednak uważać, aby kryształki cukru rozpuściły się całkowicie, inaczej proces „scukrzania“ natychmiast się wznowi. Doskonałym środkiem zapobiegawczym przeciwko scukrzaniu jest dodanie do syropu, w którym smażyemy konfitury, syropu kartoflanego w ilości 10% w stosunku do wagi konfitur. W tak niewielkiej ilości nie wpłynie on bynajmniej na zmianę smaku.

Przy użyciu zbyt słabego octu, nawet i marynaty wymagają nieraz akcji ratunkowej. Wówczas zlewa-

my mętniejący ocet i wypełniamy słoiki mocnym, winnym octem, przegotowanym z korzeniami i wystudzonym.

Najidealniej przyrządzone i starannie przechowane zapasy nie zdołają jeszcze rozwiązać całkowicie zagadnienia aprowizacyjnego, jeżeli nie unormujemy używania zapasów, tak, aby wystarczyły nam na całą zimę. Dobrze jest, dla samokontroli, zliczyć słoiki podzielić je na gatunki (stosownie do zawartości) i określić sobie z góry tygodniowe, lub miesięczne, normy zużycia, uwzględniając je przy zestawianiu ilości spisów.

O zaprowadzeniu piwnicy, przygotowaniu jej na przyjęcie zapasów zimowych i konserwacji tych zapasów mówić będą w następnym numerze.

Wanda Dobrzańska.

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### KOTLETY CIEŁĘCE PO WŁOSKU.

Kotlety cieleńce, pokrajane według kostek i dobrze wybite, lekko posolić. Jedną stronę przykryć listkiem świeżej szalwii, na to położyć jaknajcieńszy plasterek tłustej, surowej szynki, tak duży, aby pokrył cały kotlet. Przypiąć cieniuchnymi patyczkami (nie zapomnieć ich wyjąć przed samym podaniem). Dać tak poleżeć godzinę, aby kotlet się przejął zapachem szalwii i nie kureczył nadto przy smażeniu. Smażyć na maśle, jak zwykle kotlety, to jest, na razie zrumienić na silniejszym ogniu, a dalej dosmażyć wolno. Układać na półmisku stroną, pokrytą szynką do góry. Do tego się podaje purée kartoflane, zieloną fasolkę, groszek i inne jarzyny. Szalwja daje oryginalny aromat i smak i cieleńca staje się przez to mniej mdła.

### PIEROŻKI WŁOSKIE. (Agnoletti alla Piemontese).

Zagnieść wolne ciasto z dwóch dużych jaj, dwóch łyżek wody, odrobiny soli, garści ostrego, tartego sera (tutaj używają Parmezan, sądzę, że u nas dałby się on zastąpić suchym, ostrym serem litewskim, najbardziej do niego zbliżonym) i mąki. Trzydzieści deka pieczonego lub gotowanego białego mięsa (kura, cieleńca!), przepuścić przez maszynkę. Posiekać jaknajdrobniej sporą cebulę, przesmażyć w łyżce masła, dodać mięso i ćwierć kilo sparzonego i przepuszczonego przez maszynkę szpinaku, zasmażyć. Ostudzić. Dodać na koniec 10 deka surowej szynki, jak-

najdrobniej usiekanej i sporą garść utartego, ostrego sera. Wy-mięszać doskonale, Robić kulki rozmiaru włoskiego orzecha. Ciasto rozwałkować cienko. Robić zwykle, spore pierogi, wycinając kółkiem, aby brzegi były zębate i przed samym podaniem gotować w osolonym wrzątku. Przebrać szybko zimną wodą. Ułożyć na półmisek, pokryć cienkimi plasterkami śmietankowego masła. Ostry, tarty ser podać oddzielnie.

### FASOLKA Z WĄTRÓBKAMI Z KURY.

Bardzo delikatną i młodą fasolkę zieloną wrzucić na mocno osolony wrzątek i ugotować szybko, to jest, na silnym ogniu, nie zakrywając rondla pokrywą, aby zachowała zielony kolor. Wątróbki, żołądki i serca z kurcząt, także nerek z kogucików wymoczyć dobrze w zimnej wodzie przez godzin parę. Żołądki i serca ugotować w rosole. Pokrajać wszystko w ładne, nieduże kawałki. Masło zrumienić z drobnutką pokrajaną cebulką, wrzucić drobka, rozmięszać mocno i szybko, aby wewnątrz nie wyschły. Dopiero teraz posolić. Fasolkę odciedzoną zmieszać szybko w miseczce z kawałkiem śmietankowego masła. Na półmisku pokryć ją gęsto kawałkami dróbk, polać rumianem masłem od nich i grubo posypać tartym, ostrym serem. Ser można też podać oddzielnie.

Pani Elżbieta.

NIE KAŻDA PANI ZDAJE SOBIE  
SPRAWĘ, ŻE NIE POWINNA  
ROBIĆ ŻADNYCH INNYCH ZA-  
BIEGÓW, BY POZBYĆ SIĘ ZBY-  
TECZNYCH WŁOSÓW POD PA-  
CHAMI, NA TWARZY, RĘKACH  
I NOGACH TYLKO RAZ PO-  
SMAROWAĆ IDEALNYM PER-  
FUMOWANYM KREMEM.

F E M Y

365

**Dr. Julja Świtalska**  
powróciła

INSTYTUT PIĘKNOŚCI I ZDROWIA

Krucza 31

Tel. 102-77

WARSZAWA.

### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,  
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.

# Nasza Mównica

## Jak wyobrażam sobie współpracę ze szkołą?

Rok szkolny rozpoczął się. Młodzież wypoczęta, opalona i tryskająca zdrowiem powróciła do gmachów szkolnych po zdobywanie wiedzy, tego klucza potęgi. Szkoła bowiem daje klucz do wiedzy, który otwiera oczy i wyprowadza jakby z ciemnicy na światło dzienne, systematycznie, krok za krokiem, według zakreślonego programu. Szkoła rozszerza horyzont, a tem samam daje rękojmię do pogłębiania nauki, do szperania w różnych zagadnieniach. Należy tylko chcieć patrzeć, słuchać i kochać wiedzę.

Mimowoli nasuwa się pytanie, czy jem zadaniem jest przygotować młodzież do ukochania szkoły i do ukochania wiedzy? Czy nauczycielstwa, czy rodziców, a w szczególności matek? Według mnie, dziecko, przekraczające po raz pierwszy progi szkolne, winno już być uświadomione, czym jest dla niego szkoła, w jakim celu do niej uczęszcza i jak się ma odnieść do pracy, wydzierającej mu przez nałożenie obowiązków beztróską swobodę zabaw pacholęcych. Dziecko w ten sposób przygotowane przyjdzie do szkoły, jak do świątyni, w której dokona się cud oświecenia i nie będzie zaskoczone wymaganiami, stawianymi przez swych pedagogów. Tak samo obowiązkiem rodziców jest wnikać, aby dziecko od pierwszego dnia nauki dokładnie i systematycznie odrabiało zadane lekcje. Zaniedbanie, choćby kilkudniowe, tworzy niczem nie dającą się wypełnić lukę, a dzieciak zaczyna lekceważyć swoje obowiązki, oddaje się z podwójną energią zabawom i wzrasta w duchu „jakoś tam będzie”. Dopiero koniec roku szkolnego wykazuje błędy całego okresu nauki, zatruwając błogie chwile wakacyj. Obserwuję często podobne fakty i dlatego śmiem zabrać głos w tej kwestji.

Od szkoły wymaga się dużo i bezwzględnie wymagać musimy, ale i musimy współpracować ze szkołą, aby osiągnąć żądane rezultaty. Spotykam się nieraz ze zdaniem matek, „jak dzieci pójdą do szkoły, to tyle będą miała spokoju w domu”. Pojęcie takie jest błędne, uważam, iż wówczas właśnie rozpoczynają się prawdziwe troski. Rodzice bowiem często mają żal do szkoły i systemów, a nie boli nikogo, że młodzież miesiącami nie odrabia lekcji. Takie więc sprawy (o ile chodzi o młodsze dzieci), jak: sprawne czytanie, elementarna ortografia, lub kształtne pismo spycha się na barki pedagogów, którzy znów skrępowani minimalną ilością godzin szkolnych, zamiast ryć wzory prawd naukowych i różnorodnych uczuć na przygotowanej już kanwie, muszą tracić czas na zadania, których nie spełniono w domu. Fakty podobne bardzo ujawnie świadczą o wielu inteligentnych rodzinach.

W ten sposób wyobrażam sobie współpracę ze szkołą, o ile chodzi o dzieci szkół powszechnych i młodszych klas gimnazjalnych. Nasuwałoby się jeszcze pytanie, co mają czynić biedne dzieci, pozbawione środków do nauki, zamieszkujące ciemne sutereny i poddasza? Tutaj otwiera się pole do działania dla organizacji kobiecych, jak np. dla Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, lub N. O. K., a nawet dla starszej młodzieży gimnazjalnej. Działalność ta polegałaby na tem, żeby dzieciom nieść pomoc w postaci systematycznego kontrolowania odrabiania przez nie lekcji, objaśniania rzeczy zawiłych i t. p. Gdy uczęszczałam do gimnazjum, to począwszy od klasy

5-ej, raz w tygodniu, na 2 godziny chodziłam po popołudniu do dzieci szkół powszechnych, które zwykle zbierały się w moich klasach i tam pod naszym okiem odrabiały lekcje. Wiem, iż praca nasza wydała plon, gdyż przy końcu roku szkolnego do gimnazjum wpłynęło specjalne podziękowanie od pana inspektora. Równocześnie było to z naszym pożytkiem. Te dwie godziny tygodniowo nie wytwarzały luki w naszych obowiązkach, a bądź co bądź zaprawiały nas do pracy społecznej. Czyby w podobny sposób nie można i teraz zorganizować pomocy dla najbiedniejszych?

Tyle o najmłodszych.

W ten sposób przygotowana do obowiązków szkolnych młodzież kroczy z roku na rok wyżej, aż wreszcie opuszcza szkolne mury, idąc do wyższych zakładów, lub staje do pracy. Zastanówmy się jednak, czy i ludzie dostatecznie są przygotowani do życia, czy są dostatecznie uświadomieni? Tu role się zmieniają, w danym wypadku szkoła powinna dać podstawę rozwiązania spraw ogólnych, szkoła musi nadać kierunek młodzieży. Na ławie szkolnej powinna się młodzież nauczyć patrzeć i rozwiązywać zjawiska etyczne, społeczne i wychowawcze, uczyć się przez teatr, lekturę klasyczną i t. p. Czas wielki, aby już ponad materializm światowy wyrósł gmach zdrowego ducha młodzieży, tej przyszłości narodu. Ale niestety, ze smutkiem stwierdzić musimy, iż młodzież obecna daleka jest od zagadnień natury społecznej. Obecne są dla niej hasła „myśmy przyszłością narodu”. Gdy się przyjrzymy bliżej, uderza nas przede wszystkim brak wychowania obywatelskiego i uspołecznienia wśród młodych pokoleń.

Za czasów niewoli, na terenie szkół średnich polskich, obok harcerstwa i samopomocy szkolnych, istniała organizacja kół samokształceniowych. Zadaniem tych szkół było dopełnienie programu szkolnego, zwłaszcza jeżeli chodziło o geografję ziem polskich, literaturę i historję Polski. Powyższe przedmioty wykładane były skrycie, a tem samem w nieznacznym zakresie. Dopiero w 1916 r., za czasów okupacji, zdobyły prawo obywatelstwa i zostały jawnie wykładane.

Koła samokształceniowe pod kierunkiem starszych koleżanek lub kolegów dopełniły programu szkolnego. Z jakim napięciem nerwów szło się na takie „tajne lekcje”. I powiem, korzystałyśmy dużo. Już jako starsze zaczytywałyśmy się w utworach tendencyjnych, wyluszczaając myśl przewodnią autora, w referatach i dyskusjach. Wreszcie rozpatrywałyśmy różne zagadnienia społeczne, również ujęte w referaty, jak np. „kwestja żydowska w Polsce”, „Sprawa włościańska” i t. p. Do nas należały obchody patriotyczne, odczyty okolicznościowe, przedstawienia amatorskie.

W tym miniaturowym świecie szkolnym zaprawiano nas do pracy społecznej. Pokreślić muszę, iż drogowskazami do tych poczynań byli nasi wychowawcy-pedagodzy. Przy takiej pracy zastała nas wolna Polska. Otwarły się wierzeje do pracy jawnej. Młodociągni konspiranci wypłynęli na forum publiczne, przygotowani i obywatelsko uświadomieni. A dzisiaj... Dzisiaj, niestety, brak tych pionierów społecznych, bo brak siewcy, któryby rzucił światło, aby dało plon. Siewcami winni być wychowawcy-pedagodzy. Nie dość dać wiedzę książkową, zakreśloną programem,

trzeba dać uświadomienie obywatelskie, trzeba się zżyć z młodzieżą, wytworzyć ciepły stosunek i wskazać kierunek *pozaszkolnej pracy obywatelskiej*. Nigdy chyba mniej niż dzisiaj nie zwracało się uwagi na uświadomienie młodzieży. Wszczęć rozmowę z uczennicą lub uczniem VII—VIII kl. i potrącić o potrzeby społeczne państwa, o pracę społeczną, spotka się człowiek z grymasem i uwagą, że „mamy pilniejsze i ważniejsze rzeczy”. Te ważniejsze rzeczy, to z całą pewnością pornograficzna literatura, lub niedozwolony obraz w kinie. Smutne to, ale prawdziwe. Trzeba stanowczo to zmienić, i to zaraz, w przeciwnym razie społeczeństwo skarleje i upodobni się do kaleki, obarczonego teorjami i hasłami, a toczonoego przez robaki zepsucia.

Wychowawcy-pedagodzy muszą wyciągnąć ciepłą dłoń do młodzieży, zdobyć jej serce, i tak skupieni pod jeden sztandar wyczarować barwy i legendy wielkiego umiłowania Polski.

*Pola Pawłowska — Krasnystaw.*

## **Praca społeczna kobiet w Łodzi.**

Ruch kobiecy w Polsce zasługuje na coraz baczniejszą uwagę. Rozwija się on w dobie powojennej i w ramach własnej państwowości dość intensywnie, mimo bezsprzecznie ciężkich warunków w jakich się znajduje. Masy kobiece są naogół bardzo mało uświadomione pod względem obywatelskim, a nadto wykazują niewiele inicjatywy i energii, podkopywanej jeszcze w czasach dzisiejszych psychozą ogólną, zmierzającą do ułożenia sobie życia możliwie najwygodniej, bez poczucia odpowiedzialności za sprawy natury społecznej. Inicjatywa jednostek lub grup kobiecych natrafia przeważnie na bierny opór ogółu kobiet, to też niewiele z pośród nich staje do pracy.

Gdy rzucić okiem na ruch kobiecy w ostatnim trzyleciu, zauważyć można jednak wzrost jego i usilną dążność wnikania w coraz szersze masy kobiece. Rosną zainteresowania i głębokie przekonanie, że kobiety, część społeczeństwa, stanowiąca 50% ludności, nie mogą stać na uboczu ogólnego życia narodowego i obojętnie patrzeć na jego losy, tembardziej, że całe dziedziny pracy oświatowej i humanitarnej leżą odłogiem i czekają bezinteresownych, a pełnych entuzjazmu pracowników. Jedną z ciekawszych organizacji kobiecych jest Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, mający centralę swą w Warszawie, a oddziały we wszystkich częściach Rzeczypospolitej; wykazuje on dużą żywotność i obywatelską czujność wobec wszystkich zagadnień współczesnego bytu naszego. Nawijając ideologję swą do pięknych tradycji organizacji kobiecych z okresu walk o niepodległość, opiera Związek Pr. Ob. Kob. program swych prac na podkładzie tych właśnie najlepszych tradycji narodowych, a łączy je z prawdziwym demokratyzmem i troską o istotny interes państwa, któremu grupy społeczne powinny się podporządkować.

Na terenie województwa łódzkiego istnieje Zrzeszenie Wojewódzkie Związku Pracy Ob. Kobiet, któremu podlegają oddziały prowincjonalne.

Praca Zrzeszenia idzie w 3 kierunkach: Uświadczenia obywatelskiego i szerzenia oświaty wśród kobiet. Opieki społecznej nad kobietą i młodzieżą. Popierania wytwórczości kobiecej, zawodowej i artystycznej, a łącznie z tem propagandy na rzecz wyrobów przemysłu krajowego i sztuki ludowej.

Najsprawniej idzie praca w oddziale łódzkim, co jest zupełnie zrozumiałe, ze względu na wielkość terenu i ilość inteligentnych sił kobiecych, jakimi Łódź w porównaniu z prowincją rozporządza. Mimo to trzeba przyznać, że i prowincja organizuje się coraz ener-

gicznie, a takie oddziały jak Kalisz, zwłaszcza zaś Łęczyca i Zgierz, wykazują się rzetelnym wysiłkiem i dużym dorobkiem w realizowaniu dążeń Związku.

Łęczyca zamierza rozbudowę swego oddziału w kierunku wsi okolicznych.

Z obszernego materiału uwzględnimy w niniejszym artykule część tylko, a mianowicie sprawozdanie z działalności oddziału łódzkiego.

Zarząd Oddziału łódzkiego składa się z 10 osób; praca rozłożona jest na sześć referatów: uświadczenia obywatelskiego, oświatowy, opieki nad młodzieżą, opieki nad matką, wytwórczości kobiecej oraz finansowy, nadto w stadjum organizacji jest referat prasowy.

Referat uświadczenia obywatelskiego pracuje przeważnie wśród członkiń; dąży on do utrwalenia ideowych podstaw związku oraz do zorientowania członkiń w najważniejszych zagadnieniach politycznych i ekonomicznych kraju i Europy. Nie rozpolitykowanie, a rozumne zainteresowanie się kwestjami polityki i ekonomji, ich układem w dzisiejszym świecie; zrozumienie roli, jaką Polska odgrywa na arenie świata oraz dążności mocarstwowych naszego państwa, oto główne zadania referatu.

W tym celu zorganizowano cykl odczytów z dyskusją na tematy następujące: Demokracja a parlamentaryzm. Zagadnienie reformy konstytucji polskiej. Bolszewizm i faszyzm, ujęte jako dwa krańcowe odchylenia i zniekształcenia parlamentaryzmu. Układ stosunków ekonomiczno-politycznych w Europie dzisiejszej. Liga Narodów (2 odczyty). Polityka zagraniczna Polski.

Nadto referat zorganizował szereg odczytów z dziedziny literacko-artystycznej.

Referat oświatowy organizuje pogadanki dla szerszych warstw kobiecych na peryferjach miasta, akcja ta spotkała się z dużą życzliwością Tow. „Kropki Mleka” i „Kobiecych Kół N. P. R. lewicy”, które to towarzystwa udzielają lokali i zajmują się techniczną stroną pracy. Pogadanki wygłaszane bywają na różne tematy zależnie od środowiska.

Największą popularnością wśród kobiet cieszyły się odczyty z zakresu higieny, estetyki mieszkań i wychowania, zaś w związkach robotniczych gdzie członkinie mają często duże wyrobienie, przyjmowano chętnie pogadanki na tematy historyczne, polityczne i społeczne. Ogólny dorobek referatu oświatowego wyraża się w cyfrze 58 pogadańek.

Referat opieki nad młodzieżą prowadzi swą akcję w kierunku stwarzania świetlic dla dziewcząt, urządzania zabaw i wieczorów o pewnym poziomie artystycznym, nadto założono przedszkole im. J. Rowińskiej, które prowadzone jest doskonale i daje poważne wyniki wychowawcze.

Referat wyżej wspomniany nawiązał kontakt z Patronatem nad nieletnimi przestępcami, pragnąc i w tej tak ważnej dziedzinie przyłączyć swoje siły do podjętej akcji w przekonaniu, że praca i inteligencja kobieca może tutaj zwłaszcza oddać duże usługi.

Referat opieki nad kobietą obejmuje wszystko, co związane jest ze sprawami kobiecemi, a więc walkę z handlem żywym towarem, wchodząc przez centralę w kontakt z odpowiednią sekcją, istniejącą przy Lidze Narodów, nadto walkę z prostytutką, opiekę nad starszami w przytułkach i t. p. Otworzono też poradnię prawną dla kobiet w lokalu związku, którą prowadzi mag. praw Alicja Hansówna.

Referat wytwórczości kobiecej ma własną pracownię spółdzielczą, wykonywującą bieliznę, suknie, artystyczne drobiazgi toalety damskiej. Dąży on do popierania twórczości kobiecej wogóle, do rozwijania zamiłowań estetycznych wśród członkiń przez urządzenie pokazów wykonanych prac, sporządzanie wzo-

rów, modeli i t. p. W ornamentacji dąży referat wytwórczości kobiecej do oparcia się o elementy polskiej sztuki ludowej.

Oddział łódzki Zw. Pr. Ob. Kobiet pragnie silnie zakorzenić się w Łodzi, wsłuchać się w tętno życia miasta, w jego potrzeby, i w miarę sił swych potrzebom tym zadośćczynić. W momencie więc zarysowującego się coraz silniejszymi linjami kryzysu gospodarczego zorganizował Związek Kobiety Komitet Pomocy dla najbiedniejszych „gdzie do chwili obecnej wspólnie z innymi stowarzyszeniami kobiecymi wydaje zapomogi biedakom naszego miasta. Nadto sekcja dożywiania dzieci szkół powszechnych przy Wojewódzkim Komitecie niesienia pomocy najbiedniejszym jest prowadzona przez członkinie Związku.

Kończąc sprawozdanie bezstronnego obserwatora, należy życzyć Związkowi, by zachowując zawsze swój rozmach, szczery zapał i niewątpliwie duży talent organizacyjny, stał się wybitnym czynnikiem ogólnego życia polityczno-społecznego Łodzi, a niejednokrotnie tego życia budzicielem. J. H. — Łódź.

## Jeszcze artykuł 141 — 142.

Od dłuższego czasu dużo jest w „Mównicy“ artykułów, omawiających sprawę regulacji urodzin. Wiadać, że sprawa ta dojrzała, że dopieka ona wszystkim kobietom myślącym i, że nie prędko jeszcze znajdzie rozwiązanie.

Mnie osobiście uderzyło bardzo, gdy jedna z pań zadysponowała karę dziesięcioletniego więzienia za świadome przerwanie ciąży.

Obserwując życie, widzi się, że kobiety inteligentki z urodzenia czy okolicznościowego wychowania, pracujące zawodowo, biorące żywy udział w walce o byt, zamordowałyby się z kretesem, gdyby pozwoliły sobie na regularne rodzenie (jak to bywało dawniej: co rok, to prorok).

Zapobiegają złemu, nie przeczę, że często ze szkoda dla zdrowia.

Jakaż jest najgłówniejsza i podstawowa przyczyna? Uważam, że zasadniczo brak środków na utrzymanie i wychowanie nowego człowieka.

Możliwe, że jest to w związku z podniesioną stopą życiową człowieka powojennego i nowoczesnymi wymaganiami kulturalnymi. Chodzi jednak jeszcze o co innego: o doborowy materiał ludzki.

Może nawet i zdrowy egoizm ludzki wziął tu górę, aby nie obciążać ojca rodziny obowiązkami ponad siły, nie robić z niego wołu w jarzmie (godzinówki, wieczorówki, urlopówki...), boć przecie i on ma prawo do wypoczynku i rozrywki.

Proszę... tak się niektórym mamusiom cudownie życie złożyło, że dla siebie i kochanych dzieciątek zawsze miały pod dostatkiem wszystkiego. Wiadomo: dobrobyt, wygoda, letniska, słońce i... wyższa moralność.

Ale są matki (o, jak ich dużo!), którym dzieci zarzucają bezmyślność w nieograniczonym płodzeniu, i słowa: „na świat się nie prosiłem“ są bardzo powszednie.

Jeżeli się przyjrzeć rodzinom licznym, gdzie cztery córki i pięciu synów dorosłych gnieźdzą się w dwóch pokojach, gdzie każdy stanowi odrębny świat niezaspokojonych pragnień, gdzie starsi muszą materialnie pomagać młodszym (czyli odwrócony porządek obowiązków), gdzie kłótnia, to chleb powszedni, a spokój na uroczyste święta, to trudno się dziwić, gdy stara matka mówi: „Żebyam ja była mądrzejsza, tobym tyle dzieci nie miała, samabyam się tak nie zmarnowała i w domu byłoby... ciszej“.

To mówi stara kobieta, zreumatyzowana, z pę-

kami żylaków, która potrafiła brnąć przez rzekę, w czasie okupacji, aby dla swojej gromadki nienasyconych zdobyć ćwierć kartofli i parę funtów mąki. Mąż chronicznie bezrobotny. Więc, jeśli taka niewolnica „dopustu bożego“ z rozpaczy dziesiąty płód spędziła, to wpakować ją za to na 10 lat do więzienia!?

Proszę o nieco wyrozumiałości.

Och, godnie i pięknie jest spełniać przeznaczenie małżeńskie!

W sąsiednim powiecie daje pod tym względem przykład pani S.

Doskonały typ kobiety, porywa oczy dostojnością, rasą, kulturą.

Tylko, że dziecko przechodzi z rąk nianki do rąk nauczycielki, i tak jest tam wszystko sprawnie zorganizowane, że sama pani ma czas i na pracę społeczną i na dogładanie licznych folwarków.

To jest wzór matki, kobiety-obywatelki, wszyscy o tem mówią.

Niech jednak na ten piękny obraz zapatrzy się żona ustabilizowanego bezrobotnego w mieście Łodzi, no to wyjdzie z tego paródja potomstwa, niedza, piekło na ziemi, w rodzaju szczyrych wykrzykników: „pocoś mnie miała?“

Zbrodnią jest głodzić własne dziecko i przez niezaspokojenie niezbędnych potrzeb skazywać je na charłactwo fizyczne i duchowe.

Dziś, dając prawo życia, trzeba je regulować prawem ekonomicznym i duchowym.

Jesteśmy na przełomie, poszukujemy nowych form ujęcia szczęścia w rodzinie, wiemy już czego chcemy, tylko te nasze sposoby zaradzenia złemu nie stoją na poziomie walki o doborowość rasy ludzkiej.

To też należałoby z naszej strony mieć nieco wyrozumiałości dla tych, których warunki zmuszają, a sumienie im pozwala, te zaś, które uważają wszelkie zapobiegania za niemoralne i szkodliwe, niech tego nie czynią. Łodzianka

## „Z Podola“.

Istnieje po dworach zwyczaj kontraktowania robotników rolnych, sezonowych, noszących tu na Podolu nazwę „bojków“. Bojki składają się z dziewcząt i chłopaków. Ludzie ci pomagają przy żniwach. Wszyscy chyba wiedzą, co znaczy to wielkie słowo „żniwa“, to plon całorocznej pracy w ziemi, to korona zysków w rolnictwie. Za tę pracę wynagradzają bojków i dają im mieszkanie, ale jakie? Jedną izbę, w której nocują razem chłopaki z dziewczętami, i w której gotują sobie pożywienie. Śpią na piętrowych pryzkach *parami*.

O higienie w tem mieszkaniu niema nawet co mówić, w drzwiach stanąć, to już trudno oddychać, a wejść do środka, to bohaterstwo, nie tyle już wobec możliwości uduszenia, ile z lęku przed robactwem wszelkiego gatunku.

Gdzież są Komisje Sanitarne? Czy działalność ich rozciąga się tylko na miasta?

A moralność? Czy nocowanie w jednej izbie dziewcząt z chłopakami minie bez skutku? Później będziemy pisać treny, że tyle dzieciobójstw, że brak moralności i t. p.

I takie kwiatki kwitną, ba, i nawet wydają owoce, w epoce Ligi Obrony Praw Człowieka.

Kobiety polki! przyjdźcie z pomocą tym rzeszom nieszczęśliwych, które nie mogą się same bronić. Niech ten głos nie będzie znów głosem wołającego na puszczy.

Leonarda W.